IV

Komornicy

ukończono w lutym 1898



Komornicy

Wstęp.

Dobromil 1900.

Regierung des Generalgouvernements
Hauptabteilung
Wissenschaft und Unterricht

Zl.Wiss.I B 716

An den Herrn

Leiter der Hauptgruppe Gewerbliche
Wirtschaft,Gruppe Handwerk
Abteilung Rohstoffbewirtschaftung

K r a k a u

Reichsstrasse 61/63

Ich übermittle ....An
bewirtschafteter Rohstoffe
Menge oder einen Teil davo

...Anlage(n)

Powszechnem jest mniemanie, że górale, to ogromnie wesoły naród; śmiechu i gwaru u nich pełno, wesele tryska im z oczu snopami iskier świetlnych, humor niewyczerpany ich ogrzewa... Zaiste! Przyjeżdżającym codziennie chłop nie pokaże smutnego oblicza. Nie jest to jednak ten bezinteresowny, szczery uśmiech, który ubielił twarz dawnego Kmiecia, gdy witał w progu nowych „gości". Jest to raczej maska, konwencyonalny uśmiech banalny wobec wycieczkowiczów, który każe przybrać „pokorną minę" wobec spotykanych ludzi, kiedy dusza płacze... Albo co gorsza radość zwykła, która uprzedza spodziewany zysk. Pierwszy rodzaj tej wesołości sztucznej widzi się powszechnie u ocalałych górali, drugi zaś stał się próbką grzeczności ku pieczy dwóch miejscowości, zatracających szybko charakter swój pierwotny czysty. Mam tu na myśli Kościeliska i Zakopiańców. Ci wykształcili jedną władzę umysłu – spryt, stają się też niedługo zupełnie poprawnymi europejczykami, bo i krew ich góralska odbarwia się powoli... Czyż trzeba uszlachetnienia! Wiadoma rzecz.

A cały naród nasz podgórski jest w sercu swojem smutny, bardziej daleko niż doliny Łęgu. Smutek to ziemski, wypiekły z biedy, z ekonomicznego upadku, poprostu smutek pragnących ciał...! ale gdy się rozpęta, odżywa duchowi – staje się smutkiem ugorów i tłoków i tych jałowców i tej pustki głuchej, rozpaczą prawie, żalem bezwiednym, tęsknicą wieczną trawiących tę duszę...

Stąd też cała ludność obrazy pieśni wszystkich górali będzie też smutek owiec, szukających pasz, a w pieśniach – własna ich dusza, pustki zaświatowej echem, idąca ugorem, wśród ... z melodyą wieczną: „Na holi Pasiołki bijąc dzwony..."

Charakter przecie ludu tego nie jest jednakowy. Różnice są i silne, a te powstają z różnic klimatycznych pola i różnych ekonomicznych warunków. Wyjdź na przykład na Obidowce (wprost linii na wschód od matki jego Obidowej), to się wyraźnie odcinają się dwie połowy: cał.

Powszechnem też jest mniemanie, że chłopska dusza jest mało zdolną, a myśli tylko jednym bokiem chodzą. Wesołość musi stać się koniecznie grubym śmiechem – strapienie musi być koniecznie lamentacyą! Subtelnych umie nic... A przecie jest w niej tak szeroka skala, tyle nieznanych strun, że potrącone grają przeczystą liryką naiwnego serca pierwotnych ludzi-pasterzy, albo szepcą dziwne słowa prastarą gwarą, zrozumiałą jedynie tym, co zwykli siadać na pewnych kamieniach i patrzeć stamtąd okiem smutnem na tę naszą okrzyczaną ziemię... W zapadłym życie można napotkać pasterza, co zna mowę ptaków, niezwykłego poszukiwacza skarbów, milczącego filozofa rezygnacyi, którego już niczem na świecie nie dziwi, a prócz naturalnie wszystkie warstwy ludzi, jakie się widzi i w szerokim świecie. Najbardziej wpadła wioska na swoją arystokracyę rodową, mniej zamożnych chadzających boso,

i bezdomny, od wspólnego stołu życia odszczepiony nerw., Nazewnątrz, podobnie, jak w cywilizowanym cudzym świecie, wszystko zdaje się żebrakiem i szarem, całe to życie smutnem nie wartem uwagi – a wewnątrz, pod skorupą bezbarwnego życia – dzieją się rzeczy straszne, tragedye ciche, toczą się bezustannie te podwodne wiry, czasem krzyk, coś mówi, że coś tam się stało, ale wnet powierzchnia się wygładza i płynie dalej to życie jak rzeka – jednakie, szare monotonne...

Maleńka fala tego życia – bezkresne, szumne i niepozorny, a połączona z szumem wodospadów zakończy gdzieś w Karpatach...

W. O.

Dobromil. 1890.

„Jakież znaczenie posiada jednostka ludzka, który podobnych tysiące prawie milionów roi się na powierzchni tej prawie niedostrzegalnej ze środka drobiny, a z których zaledwie jeden na miljon pozostawi jakiś ślad swego istnienia? Cóż znaczy ogół jego przyjemności i cierpienia?"

(Jan Wilhelm Draper.)

ements

iche

ung

.....Antrag/Anträge auf Zuteilung
hstoffe und bitte, die beantragte
il davon zu bewilligen.

Im Auftrage.

Komornicy

do R. I.

[wyd. 2b. s. 11-12]

na odwrocie fragment ze s. 34 wyd. 2b

Name: Helen Br
geb.: 20. Sept. 26
Vater: Michael
Mutter: Helene
Schule: 8 Kl. ukr
Angemeldet: 22.9

V

~~Maj~~

Powiedziałby ci każdy na ucho, z kim Zośka
z ~~pod~~ ~~Komiota~~ Zakrzy ma dziecko (ta co to na
plebanii ~~gł~~ sługowała), ~~i~~ za kim ulatu-
je Hanka od Korczy, czyj się chłopczyk
utopił na jazie Towińskiego rokiem,
i wiele ~~drobnych~~ cudzych dzieci ma Szymonek
z nad Brzegu, ten co ma taką przymną
babę, a sam dochodzi sześćdziesiątki...

O Jatraczej, ~~o Korczce~~, co synów swoich
trzyma w uwięzi, nie dając się im żenić.
O Korczu bałamucie, co go po nocach
„coś" wodzi – wie dobrze każde dziecko.
A ~~o~~ o starym tracanym Żydaszku,
~~zwanym~~ przezwanym Chyłę, pastusze ~~przy~~ śpiewają
przy bydle...

Jeden o drugim wiedzą więcej,
niż każdy o sobie...

— Żeń się Michał! Obłap ~~wisi~~ matkę ni-
siutko za kolana i proś...
— Mnie proś, mnie! — śmiał się młodszy —
Ja ci się przysłużę... Naraję ci taką ~~ra~~
dziewkę rzetelną, że ~~mat~~ twojej matusi
zrobi ~~będzie~~ babką, już w pół roku po twoim
weselu... Wierz mi!
— A tak się chłopcy żeńcie, coby jeden
drugiemu starostował!

Vol.

Knipp

26. in ~~Horkkow~~ Charkow ~~Ho~~

l – Wissenschaftler

e

ikt Volkssch

2 943 „HKP 547

" Weststrasse

Komornicy

R. I. od s. 17.–24 wyd 26.

na k. 5 zapiski

B.S.

17.

Name: G i e l e s Margaret

geb.: 6.5.1926 im Neuss am Rhein

Vater: Teo /Betriebsleiter/

Mutter: Therese /Hausfrau/

Schule: 8 Klass Deutschen Volksschu
2 Jahre Kaufmännischen Beru

Angemeldet: 27. August 1943 „Juliu

Anschrift: Oststraße 197

– Co on ma do moich dzieci? – rzekła po chwili – Czy on ich chował, albo co, że się teraz niemi zajmuje?.. Taki niespodziany ociec!

– A zły, niech ręka boska broni! – mówiła Jagnieszka – Dyć-ci mu za robić, ta, to wiem... ze synowcem co nienawydziwią, to strach!.. Wciąż w gościach na niego krzyczy i labiedzi... i cóż mu biedna robić? Chłopa ma do niczego, Panie ratuj!.. Ino chodzi, a mruczy, a mu dyktuje – wre coś do siebie gada... taki dziwak. Dyć robi, bo robi, jak i w kuźni, ale cóż z tego, kiedy on jakieś głupstwa... Wciąż o czemś myśli.

– To Pan Bóg pokarał go takim synem – rzekła poważnie Łatrowa – O, Pan Bóg dobrze wie, jaki kto karny jest i co się mu patrzy... choć On ta z wysoka – ale widzi!

Wszystkie trzy spojrzały nabożnie do góry i zamilkły na chwilę, zajęte zbieraniem wyklepywanych ziemniaków.

– E przecie i ci dwa najmłodsi? – podjęła stara – Ani to do Boga, ani do ludzi, takie odszczepieńcy skończone... Tobkowi już będzie ze dwadzieścia, a jeszcze nie był do spowiedzi... Tak żyje! Wojtek ino światem patrzy, łoter będzie z niego, nic więcej.

– Dyć prawdę gadacie, bo nie inaczej! – potwierdziła Jagnieszka.

– Pokarał go Pan Bóg – ciągnęła dalej – ale też nic godnego nie wyrośnie, jak ojcowie są źli... Dyć wiecie! Bo to łampoła był, jak i Chyba stary, za młodu, wszyscy się na niego skarżyli... Ojców nie szanował, nic słuchał, odczasu był taki zawzięty, jak tchórz... Gadali, że jak ssał – to matce piersi poobgryzał...

– Ratuneczku! – szepnęła Wikta i zatrzęsła się cała..

– Tak, tak... wilk był i wilk jest dzisiaj!

Kopały dalej zawzięcie i opowiadały gorszące historye o starym Chybie. Łatrowa przesadzała w opowiadaniu, szarpnęła przez niego w najdrażliwszą strunę sercową, strunę macierzyńskiej troskliwości. Najbliższy przyjaciel stawał się wrogiem skoro jej wspomniał tylko o zabiciu „dzieci". Nic to, że dzieci miały po kilkadziesiąt lat – chciała być do śmierci ich matką... Jagnieszka też chowała w głębokości serca urazę do Chyby, że wobec na despekt Margośce.. Czuła się spowinowaconą przez biedę i wspólny los komornicy. Wikta przyświadczała każdą razą, bo co jej to szkodziło. Nic stary z niego – ba u Łatrowej... Gospodyni schlebić nie zawadzi, skoro sam czyli na tem nie ucierpi...

Wspraty w Chybę, co ino gadało. Nie szczędziły mu ostatnich przezwisk.

W rzeczywistości ~~Chyba~~ [Wydarzyło się, zwyczajnie inaczej Chyba] nie był takim czarnym obrazkiem, jak go odmalowała Jatrowa. Nie był to ~~gazda~~ gospodarz zasiedziały na swoim kawałku od dziada pradziada. Jeno miał wydajny i żyzny pod samą wodą, na wodzie tracz i młyn do tego. ~~[illegible]~~ Traczemu i młyny naraz + sama woda ~~się~~ przysięgła ~~[illegible]~~ — posiadali ludzie. Więc nie dziw, że mu ~~[illegible]~~ biedni chałupnicy zazdrościli tego, że przy wodzie siedzi. III Siedziała i Margośka przy wodzie, a nie dorobiła się niczego... II Walny był z niego chłop — jak posiadali dalsi ludzie, a że sąsiedzi pękali na niego okrutnie, to nie dziwota. ~~[illegible]~~ sąsiedztwem żyje się całe życie, z dalszymi tylko czasem.

Synów miał trzech; baba mu pomarła na jadwincie, ino nie pamięta, którego roku. Dość, że pomarła i nie ma jej, a bieda — byłaby się przydała w chałupie. Z Kowieczowej musiał syna żenić i ~~[illegible]~~ przyjął niepotrzebny kłopot, bo się synowa z młodszym tobkiem nie zgadza. Ciągła obraza boska i nic więcej... Z niewiastą wprawdzie wziął przy stówek i krowę, ale ~~tak~~ to jakoś przeszło, że nie znać w chałupie. Babskie wiano — przepadło — jak wilk nie zje, to zdechnie samo. ~~Dziwny był Jasiek~~ syn najstarszy Jasiek. Cichy i spokojny, dziwny ~~Zawsze był Jasiek nie sprawiał ojcu wielkiej pociechy.~~ ~~Cichy był i ustatkowany, ale~~ chodził ~~ciągle~~, jak noc zaspiony. ~~Nawet i gadać z nim~~ Jak się uweźmie, to cały tydzień przejdzie i słowa ~~nie przemówi do nikogo~~... Taki dumacz. Na kogo on się podał? Przecie matka była rozmowna, ba! ni minuty gęby nie zawarła i ~~[illegible]~~ chwała Bogu, ~~nie~~ gwary nie brakuje, a ten taki! Dopust boski chyba, czy co takiego... — ~~[illegible]~~ mówił stary. Choć bywało czasami, że rad był w duchu z niego. Jasiek robił pługi, koła, wozy i w kuźni klepał aż się rozlegało. Robota szła mu rączo, ~~[illegible]~~ i składnie. Płacili mu ~~[illegible]~~ dobrze, bo robił ~~dokumentnie~~, a w sercu myślał: „Dumaj, choćbyś do sądnego dnia dumał, to nie wydumasz..."

Nikt z ludzi nie wiedział, jaka walka cicha ~~[illegible]~~ toczyła się pomiędzy ~~[illegible]~~ Jaśkiem a starym. Była to walka dwóch talentów i zetknięcie ścierania się dwóch przeciwnych charakterów. Z jednej strony nieświadoma, z drugiej pewna i zawzięta.

~~Ojciec~~ Ojciec, praktyczny gazda i wszędy ludźmi obrotny był najpierw zawołanym. Robił tracze, młyny i młynki, ~~był~~ był kołodziejem, stolarzem na całą wieś i dalej. Słyszano o nim ~~[illegible]~~ wszędy i ~~[illegible]~~ znoszono z okolicznych wsi robotę, póki syn nie dorósł.

Jasiek małym już chłopcem strugał fujarki, harmonijki naprawiał i robił w kuźni, przy ojcu. Potem ojciec zdał na niego kuźnię i rad widział, że syn garnie się do świata. Ale cóż? Jaśkowi kuźnia nie starczyła, począł majstrować koło tracza, przerobił nowe koła, młyny naprawił i ojciec, że ze zgrozą zobaczył, że syn umie więcej od niego.

— Skąd jemu to przychodzi? — myślał stary — Czyby się już z tem urodził, ~~czy~~ czy co?

~~Ale~~ ~~[illegible]~~ Ale nie... Czekał, co to będzie dalej.

Jasiek wolnymi godzinami wolał majstrować coś w kuźni albo siadywał na trawie z podpartą głową. Przychodzili ludzie z zamówieniami, to się budził i w mig wykonywał robotę. Znali go już wszędy. Robił koła i kółka, pługi nowe, żelazne, zegary naprawiał przy czasie, a nawet fuzyje zrobił ze dwie i skrzypiec parę. Wieść o nim leciała daleko, na ojca nikt się nie oglądał — zaćmił go syn.

Co się tam w sercu ojca działo — niewiadomo. Nie przeszkadzał Jaśkowi, żył, jak dotąd, ale gdy kto pochwalił zastrużenie Jaśkowej roboty, to zieleniał, klął cicho i zamykał się w chałupie. Edward [illegible] Majsterkę porzucił zupełnie, pracował ino na gruncie.

— Tyś jest syn! to wam niech zrobi! — odpowiadał, gdy go prosić przyszli. — Ja się ta już tem nie trudnię! —

Ale inaczej myślał. Postanowił zrobić coś takiego, czemu syn nie sprosta. Nie wiedział jeszcze co, ale czuł, że musi zrobić, inaczej powiedzą ludzie: „Wicie! Jasiek przemyślniejszy od ojca...”. Będziemy widzieć, kto przemyślniejszy! — mruczał, zaciskał się w zawziętości wewnętrznej i poziérał z boku na Jaśka. Ten zaś tłoby niewiadomo [illegible], przesiadywał w kuźni albo dumał godzinami, siedząc na trawie z podpartą głową... „Dumaj! choćby do sądnego dnia, — to nie wydumasz...” — powtarzał stary i skarżył się przed ludźmi na syna, że taki „dumacz” i niemężczyzna. Ludzie śmiali się, żałowali starego w oczy, że szkoda nakładu i pracy, by dać synowi „talant do ręki” — ale z robotą chodzili do Jaśka. Chyba też czuł wewnętrznie wzgardę dla ludzi.

— Żarłyby ino bestyje — klął po cichu — o brzuchu ino wiedzą i myślą, że im każdy równy...

Czuł się o wiele wyższym od sąsiadów, chociaż z nimi żył, bo żyć trzeba — nic nie pomoże. I tego nie mógł pojąć u Jaśka, że z byle komornicą będzie gadał (choć mało mówił) i nieraz porządnemu gazdzie robotę zatrzyma, a jej kopaczkę poklepie...

— Nie musi on więcej wydziéć — powarczał się wtedy — boby pono z byleś kim nie był tak za pan-brat.. Już Sobek inakszy jest, choć nie majster...

Sobek też, z gruntu „inakszy” był od Jaśka. Obertal, jakich mało, bitnik i zawadyaka, znany na całą wieś. Nie było wesela, żeby się w karczmie bez niego obeszło, a jak on był, to i bitka była. Twardą miał skórę, poobijaną zewsząd, wytrzymały był na wszystko. Nie lubili go ludzie, ale się bali. Wiedział on o tem i rad wzniecał postrach dyabelskimi figlami. W domu [illegible] był nie do zniesienia. Najwięcej od niego wycierpiała bratowa. Nie było komu jej obronić. Jasiek ciągle na trawie, dobrze, że na noc przyjdzie do chałupy...

Sobek wraz z Jaśkiem docinał staremu, i uchodziły mu przez to różne sztuczki, któreby Wojtkowi młodszemu nie uszły.

– Ten kuncwot – jak go nazywał ojciec – nigdy nie przyjdzie, jak co go nie skrobie, nie przeprosi, ino ~~tłucze się~~ po-za węgły. Myśli, że ja go będę przepraszał!.. Skórę mu z tyłka, jak tak będzie robił... Poczekaj! – odgrażał ~~się~~ stary. – Nie słuchasz ojca, to posłuchasz kiedyś psie skóry!..

Wojtek śmiał się w oczy, co drażniło starego i uciekał na wieś, albo za wodę, do Margosi ~~[illegible]~~ cały tydzień i trzy dni nie było go widać. To najwięcej ojca gniewało.

– Po co on tam lata? Nie ma co jeść w chałupie ten kuncwot! Idź-no Harbiciś po niego – mawiał do synowej – bo jak ja pójdę, to mu wszystkie kosteczki porachuję!.. A zapowiedz tym dziadom, niech mi dziecka nie ściągają do siebie!.. Pokiel mogę, to mogę..

Harbicia wychodziła i zwykle wracała sama. Wtedy stary wściekał się i przeklinał godzinę, w której puścił na swój kamieniec „komorników” – „dziadów przeklętych”, którzy mu ~~[illegible]~~ dziecko „zwlekli”.

Zapomniał jednak stary Chyba, że to ojciec jego sierot długoletniego ~~swego służącego~~ z Margosią ~~powrotę~~ ją oddał im plac na kamieniec za wodę i drzewa udzielił ~~na~~ ~~[illegible]~~ na chałupę. Oni zaś mieli pomagać mu ~~[illegible]~~ w polu ~~przy robocie~~, ~~[illegible]~~ i pomagali. ~~[illegible]~~ Zapomniał o tem stary Chyba; może się mu zdawało, że to ~~[illegible]~~ było za jego gazdowania, ~~albo, że tak~~ abo, że on tak długo żyje na świecie. Któż wie!

[illegible]

Błażek
Kozera
Djabeł
Watrowie
~~Wojtek~~ Sobek
Wojtek
Jaśko
Smreczki

RD.

ret

Rhein

ksschulen in Neuss am Rhein
n Berufspflichtsschule in Neuss.

„Julius Meinl" in Lemberg Ringplatz 18.

II

Komornicy

R. II.

s. 25-39 wył. zb.

Regierung des Generalgouvernements
Hauptabteilung
Wissenschaft und Unterricht

Zl.Wiss.I B 716

An den Herrn

Leiter der Hauptgruppe Gewerbliche
Wirtschaft,Gruppe Handwerk
Abteilung Rohstoffbewirtschaftung

Krakau

Reichsstrasse 61/63

Ich übermittle ....A
bewirtschafteter Rohstoff
Menge oder einen Teil dav

...Anlage(n)

II.

Na tracie.

We Chybowym tracie zebrało się sporo chłopów. Był Szczepta z pod Grądzia, Jędrek od Zapały, Błażek od Kusia, zwany także Kuryjerem, Kozera stary, no i trzej Latkowie: Romek, Michał i Jantek.
Ci ostatni bywali tu co dzień. Zwozili z lasu odziomki, wykroty suche, skupowali, gdzie mogli, i rżnęli w tracie od wiosny do zimy i w zimie nawet. Deski sprzedawali Mosiękom, każdy na swoje ręce. Pracowali wspólnie, a dzielili się zarobkiem. Było to ciche sprzymierzenie trzech braci przeciwko matce. Żaden się z tem głośno nie odzywał, ale każdy myślał po cichu, że jak zarobi parę złotych, to się przyżeni byle gdzie do gruntu i nie będzie czekał na matczynego pozwolenia do żenby. Tymczasem słuchali dzwonu budników i pacierzyków i od świtu do nocy pracowali, jak woły.

Szczepta zaś i Jędrek mieli w tracie tramy; chcieliby je zerżnąć i sprzedać, bo na sól nie ma. Leżą one tu już od wiosny, przyłożone śmieciami, ale nie porada się było wyrwać z chałupy, każdy roboty mocki na polu i w izbie. Jesienią najsposobniejszy czas ku temu, kiedy się z pola pozbierało i przewaliła się ta praca ustawiczna. Jest, co prawda, kopanie, ale to „babska rzecz", to się ta mniej schylają nad rządkami, chłopa prędzej krzyże rozbolą. Tak to myśląc, ułożyli i przyszli.

Błażek, bo tu nic nie przymuszało pilnego, ale on się ta zawdy zajdzie, choć go nie proszą. Rad na wsi idzie i przesiaduje po chałupach godzinami, to i tu mógł zajść i posiedzieć przy czasie. Za młodu światem chodził, to ma co pedzieć. Ino, że nie wie, gdzie się prawda kończy, to mu się ta i gada czasem samo nie wie, co... Lubią go wszędy, zwyczajnie człeka, z którego się można uśmiać. Ozór ma długi — powiadają — ale też ta i nikomu nie szkodzi, bo mu nikt nie wierzy... A że nowinki po wsi rad zbiera i nosi po chałupach, to go też Kuryjerem zowią.

Kozerę musiało tu coś przynieść, bo jego tak wodzi, jak zwyczajnie pijaka oprawnego i bałamuta.

6) Zeszli się wszyscy na tracie i otoczyli gromadą Jaśka, który robił palcowe koło; obok leżało wodne i trzy osie, gonne walce.

— Co też to będzie, słyszycie? — spytał ciekawy Błażek.

— Gonciarnia — szepnął cicho Jasiek, podnosząc głowę.

— Niby co?

— Gonciarnia! — powtórzył głośniej.

— Ja wiem, ale co to?

— Ujrzycie!

— To wnet będzie taki mały tracik — objaśniał Szczepta, który zawdy rad był uchodzić za mądrego — Ta piłka, a teraz robi palcówkę. nie widzicie?

— Dyć widzi!
— No to o cóż się pytacie?

Każdy udawał, że rozumie, choć żaden nie wiedział, co to ma być. Piła na tracu ochłódła, drewno zawzięcie i wyrzucała trociny na deski. Wojtek, który co dopiero wyszedł z izby, zgarniał je kierpcami.

— Michał, do piły! bo dochodzi... — zawołał do chłopów. Brusyli się wszyscy. Michał z Jantkiem zlali wodę, Romek obracał korbę. Zasadzili piłę pod nową deskę i zgrzyt puszczonego w ruch tracza rozległ się na nowo. Jedni wrócili do Jaśka, drudzy otoczyli półkolem watrę, ułożoną przy tracu.

— On tak wszystko wymyśli, jak i Jasiek!... — począł ten od Zapały.

— Hej!

— Wydumał, wystruguje i zrobi.

— Rzetelny chłop przemyślny.

— Talant ma, bo ma. Nikt mu nie zaprzeczy. Jno z ludźmi niemowny, niespojęty.

— To, to! Z nim niko wiela nie nagada...

— O, nie!

— Taki dumac.

— I wykopaliście ta? — zapytał Jędrek Lurgota.

— Dyć rzekę mogliby już wykopać, jak i baby, kieby się były zebrały nie mojaty. Bo czas był wcale dobry.. Ale tak rzekę zchodzi to z tem to z owem... Powiadam babie: Chyćże się rzeki wartko nie odkładaj; bo nie ma czaa co... Ale baby, jak baby...

— Nie śpieszy się im!

— Nie. Ona rzekę woli szurmiać po izbie, koło pieca, a robota niech czeka. Nie zając, wpada — to nie uciecknie..

— Tak zawdy. Dyć i moja...

— Michał! do piły! bo dochodzi — zawołał Sobek.

Rozmowy poszły żwawo, — przy watrze chłopi gadali się dokoła, siedząc na grubych tramach. Kozera, który tylko plątał się bez ustanku, zazierał na Jaśka, to powracał do watry. Pilno go coś wewnątrz, na wspominanie szukał, komuby się mógł zwierzyć. Znalazł przecie. Przy pile, na tramiku, obrzuniętym dokoła, siedział Sobek samotny, bił kierpcem o podłogę i gwizdał jakąś nutę. Mało go obchodzili zebrani chłopi. Widywał ich tu codzień, znał ich wszystkich, a od go jemu lepiej. Wygrzał się i gwizdał, a czasem dla wybornej fantazji przyklęknął sobie starczyście.

Do niego to przytoczył się Kozera cierpiący.

— Tak mi tobie, tak mnie to nadeszło...

— Mówcie głośniej, bo piła!

Zgrzyt przydumany tłumił gwary i uchłaniał ostre słowa.

— Niech cię Bóg broni Sobuś, niech cię Bóg zachowa!

— Od czego?

— Ja ci powiem, ino mnie słuchaj uważnie... Rano było... Tyś już wiesz, co się rano robi... U mnie pacierz i chwała Bogu przez wszystkiem! Jużci ta mówię ten pacierz i mówię... a tu mi coś szepce: „Koszyra, pódź do żyda!... Koszyra, pódź do żyda!..."... Cóż to jest, myślę sobie... Czy mnie dyabeł kusi, czy co... ale nic — mówię dalej... Ojcze nasz... Zdrowaś... Wierzę... a tu jak mnie szarpnie coś za ramię, jak mi wrzaśnie nad uchem: „Koszyra, pódź do żyda!..." Tak cóż było robić? Zebrałech się i idę... idę, idę — a ciągiem czuję jak mnie coś popędza, popędza... No i przyszedłech do Żyda. Jakech przyszedł...

— Michał! do pały! bo dochodzi... — wrzasnął Sobek.

— Jakech przyszedł, takech ci ta już i został... Od rana do południa — od południa do wieczora. Naschodziło się chłopów: był Kanty od Luberdy i Greła, było tego sporo. Pijemy ta, pijemy, a czas leci, nie stoi... Jużci ja Kaczyś pętkwaterek, Greła też — znalazło się przy nas i Kumotr z nad miedze i ktoś jeszcze... dość, że nas było mocki. Popiliśmy się srodze, jak się patrzy... Słuchajże! bo to jeszcze nie koniec... Tak ci przeszedł i wieczór i noc przyszła niedługo. Wszyscy się potrebili, ka mogli — ja zostałem sam. Co tu robić?... E — myślę se — pudę na wolę boską, przecie chałupa nie daleko, to i dojdę... Ale mnie coś wstrzymowało, wstrzymowało... Nie patrzałech już przecie na nic i poszedłech. Jużci idę i idę... prosta droga, jak się patrzy... Gdzie zajdę!... Naraz, jak mnie coś zajęło, jak mnie zaczęło wodzić!... Zwodziło mnie wszędy: woda nie woda, miedza nie miedza... wodziło i wodziło do samego rana. Co już się razy zamoczył, z kiela ja brzegów spadł — to ani, ani... i ktoby ten zliczył, a nie zwierzę. Tyle jakbym ciebie żadnego nikiedy tak zajęło, czego Boże broń zachowaj, Matko Najświętsza!... Dopierożech rano przyszedł do siebie, jak się już dobrze rozwidniło... i wiesz, kajech był?... Stoję na Łapułowym bryżku, w tych jamach!... Tam mnie już opuściło — toć toch się ostał i wróciłech do chałupy... Nie wierzysz mi? przypatrz się — wyciągnął nogę — nowe kyrpce kupiłech na jarmarku, toch ich zdołał za jedną noc zedrzeć doszczętnie...

— Michał! do pały! bo już dochodzi — krzyknął Sobek, zapatrzywszy się w wodę.

— Tak ci padam, mój Łobuś, nie wierz nic, choćby ci ga-
dało, nie wiem co! Choćby cię oszarpało ze wszystkich stron.
Bo to kusiciel krótny... nic więcej... Jeszcze się zaprzysięgło
Nie pudź, ani razu do Karczmy, choćby nie w gardle
piekło!.. Nie pudź — wolej skonać!.. ~~Mój~~ Tak Łobuś...
— Bedzie karczma próżniejsza!..
— I ty nie chodź — radzę ci... Usłuchnij mnie starego! bo to
piekło, obraza boska — nic więcej... Tak, tak Łobuś... — za-
krzątnął się Kozera i szedł wolno ku watrze.
— Filut stary! — zamruczał Łobek — ~~stąpry~~ widuje mnie u Żyda
i boi się o dziewkę... Myśli pokraka, że ją kiem mam wziąć,
nie! Już! zaraz!.. Trza ci zięcia! Z psem ty dyabłów szyszta...
Przy watrze gwarno było. Błaszek cuda naopowiadał
dał o Krakowie.
— Rozmaite światy są... ~~rozmaite~~ roz-ma-i-te!!
— Dyć każdy wie o tem, nie ino wy...
— Ja nikaj nie był — ~~rzekł~~ rzekł Jędrzych — a ni mam się za
głupszego.
— Wyrzygną was w ten ludzie. Dajcie spokój — przerwał z niego ktoś.
A Błażek stracił ~~na~~ miarę zwykłą i rozpowiadał dalej.
— ~~W Krakowie~~ Szliśmy wtedy z pod Rusa i zatrzymaliśmy się pod
Krakowem. Ładne miasto, przystojne!.. ni ma co rzec. Jest co wi-
dzieć, ino żeby był czas ~~do tego~~ potemu. Są tam ~~dwie~~ wieże dwie, straśnie
okropecne!.. strach tam wyjrzeć. A na wieżach patrol stoi i trąbi
~~co~~ bez ~~dzień~~ dzień cały...
— Niby na co?
— Ja, bo nie wiem. ~~Tak~~ Muszą mieć nakazane.
— Bajecie!
— No to idźcie, zajrzyjcie, czy wam bajki gadam... ~~Ludu ma~~ Narodu
mnóstwo w Krakowie. Jedni spacerują, drudzy ~~siedzą~~ po kościołach
siedzą — nic nie robią ~~ni kom~~ tak żyją.
— A to cudak... Panie ratuj!
— Padam wam, że jest co widzieć.
— Pono rynek jest taki jak łoże Morawy?
— Ho, ho, ho! Ani przytykać!.. Tam na rynku trzy kościoły stoją
i jest jeszcze tyle placu, żeby sto regimentów wojska zestawić...
— Co gadacie?
— Szczyrą prawdę!.. ~~Dawniej~~ Drzewiej były ino dwa kościoła,
ale jak ~~wybuchło~~ ~~wyrobiło oko~~ ...się pokazało morskie oko...
— Kany?
— W Krakowie, na rynku! Dyć wam gadam. Wybuchła z tej ziemie
woda... i zalałaby całe miasto, kieby nie ratowali...

— Toć to pierzynami, szyrkami zatykali...
— Nie trza było siła — zadrwił Wojtek — dość ozór wsadzić, żeby zatkał...
— Toć to — kończył staruszek, nie zważając na drwiny — zatkali dziurzysko i postawili kościół na tem miejscu... iż już się więcej nie pokazało...
— ~~Schowało~~ Zamknęło się!
— Padają, że morskie oko w Tatrach, to drugie od tamtego...
— Być może!...
— Rycerze jadą! — zaśmiali się chłopi.

Z uliczki, ogrodzonej chrustami wyszły naprzód siwe woły, za nimi fura z drzewem, koło niej dwóch parobczaków. Byli to obaj smreczaki, jak smreki wyrośli; a że każdy z nich dźwigał odziomka na koła, tymci ich Rycerzami zowią. Nikt im z koni, nikt nie dostoi, chyba Łabek... ale i to z wielką biedą.

Wjechali na plac między drzewa, ciężko złożyli trama na ziemię i otarli rękawem pot z czoła. Przybliżyli się na trzask, woły zostały same.
— Rychło ta dorośniecie? — spytał jeden, ~~Wawrzek nim ...~~ przechylając się ku polu, jak topola, pochylona wiatrem.
— Dyć rośniecie! — poprosił Romek. — Nie rydzie nam już długo...
— Do zimy pewnie, abo kto wie! — przerwał ich drugi.
— La Pana Boga, cóż to za chłopy, ci Łatrowie! — zaśmiał się Wawrzek, stary. — Łożą, rżną i przedają, nikomu się nie dadzą wyprzedzić... Pedziałbyś, że gazdowie, abo co — a to ino dzieci swoje matki...
— A tyś co jest? — ~~odparł Michał~~ krzyknął Romek.
— Wawrzek. Nie wiesz, żeś mnie do chrztu trzymał?..

Przy watrze chłopi wybuchnęli śmiechem (~~Przykro się łatrom zrobiło, ale (nie) zmilczeli kpiny. Żeby to nie smreczaki!.. Nie przepuściliby nikomu.~~) Przy nich stanęli smreczaki, grzali ręce i odgadywali trzem łatrom.
— ... co ja o tobie słyszał...
— Ty Michał nic nie wiesz — począł mądry — Powiadają, że z matką legaoz... czy to prawda? Powiedz no.
— Każde dziecko wie o tem! — poparł stary.
— Ja ci naraję dziewczynę — ino mnie ~~poproś~~ poproś! Smreczakowi ci naraję ładną, zgrabną, w sam raz la ciebie. Znasz Magdę od Starmacha? Co? Oblizujesz się?.. Poczkaj! Tyś ~~się~~ że nie pierwszy ~~o nią~~... nie radujże się! Że ta kulawa, to nie wadzi... Za to płacą na szóstkę i resztę...
~~Żeś się, ... Michał nie wyjechał~~ Śmiech chłopów dolatywał ~~pobocznie~~ na trzask i ~~wzniósł~~ w hałasie wielkim i huku. Łatrowie przemilczeli kpiny. Żeby to nie smreczaki!.. Nie przepuściliby ~~nikomu~~ tak łatwo... Ale trudno zaczynać z ryczeniami. ~~Złość~~ ale mróz na robocie odbijali: furczały ino deski w powietrzu, jak je od piły odrzucali. Świst piły przedzierał ~~się~~ ~~kołem~~ wodne koło ~~to~~ przygłuszało hałasy i chlupotało jednostajnie, miarowo.

Jasiek drewniane palce ~~do~~ koła, przymierzał i ~~tak~~ medytował, nie zważając, co się koło niego działo.

Przy watrze grzali się chłopi i zabijali czas pogadanką.

– Ućkali ta latrowie zenrę, to się nam dostanie... – mówili ci, co nosili tramy, czekając cierpliwie na swoją kolej. – Być trudno muszą ręce do samej ziemi!

Kozera, doświadczony Imrecator, począł im opowiadać od początku, jak go coś – świadło –

Błażek przedzierzgnął się naraz w ~~dyplomata~~ zawołanego strategika i snuł przed oczyma zdziwionych chłopów „roz-ma-ite plany.

– Abo będzie wojna, abo nie będzie... – zaczynał zwykle. Tak zaczął i tę razą. Milczeli, więc sam przepołowił zdanie i stanął równo silnie po obu stronach. Dwoistość jego sądu ~~tak~~ otumaniła chłopów, że nie zdali sobie sprawy, jak szybko skończył spór ze sobą stojącym po tamtej stronie, że się naraz oba Błażki znaleźli razem. ~~Musi być~~

– Musi być wojna!... – zakończył z przeświadczeniem.

– A ja ręką nie wiem – dodał Jędrek – ale dobrego nic nie będzie. –

– Prusak się zbroi – ciągnął Błażek – Francuz gotowy, ino czeka. Italijan też pudła (?), bo jakże? Skoro zaczną, to wszyscy razem... Ale się jeden na drugiego ogląda – i ~~nie~~ tem im tak niesporo.

– Nie wierzą se...

– Anglik patrzy z za morza i słucha... nasłuchuje... ~~jak się~~ On ta mądry, nie bijże się! Czeka, jeżeli się mu co zwróci. I tak – wszyscy zeszli się do kupy...

– ~~To~~ Koniec świata!

– Niechże też Bóg zachowa! – zaprzeczyli inni.

– Trudno – my nie rządzimy światem...

– Nad nami stoją inni...

– Hej!

Przerwali. Urwał się rozgląd. ~~Na watrze przybiegł Wojtek~~ Pomiędzy chłopów wpadł zdyszany Wojtek. Ale niedługo tu popasał. Za nim biegł ojciec z paskiem rozpasanym i wyrzucał nim w powietrzu.

– Zczyzmy łyczka!

Zapóźno! Wojtek w mig przesadził tracz, skoczył przez wodę i opasł się na drugiej stronie potoki.

„Karali mi na maliny –
A ja za piec do Maryny... Hop! hop!"

Zaśpiewał ojcu, obejrzał się dwa razy na pięcie i pobiegł ku Margośczynej chałupie

+ Przydień mi tyle!... — pomyślał za nim ojciec i zatrzymał się przy chłopach — Takie mam z niego pociechy... ~~nie~~ Wielgi nie przyjęży, nie pomoże tyle tego, jno wsze czci Kasi Dubie... Zmajstrował mu Jasiek skrzypce, juści zempoli mi po mu uszy i zeszpeli.. Ja ten wziąłem skrzypce i spaliłem. Myślę se: ustatkuje się ... coby! Wyczyganił nowe od Kozioła i z tem ma całą robotę... Wisus! Nawet się wybić nie da, ba ci się wymknie z ręki i ucieknie... ~~Hard~~ Huczwał zatracony!

— Kiej wszyscy.. Na ojca się podał — wyrzekli chłopi.

Zabrał się od nich i poszedł za izbę do bab, kopiących ziemniaki. Patrzali się za nim i widać było, że wszyscy biorą stronę Wojtka. Chyba nie długo bawił przy kopaniu. Jeruce mu się złość nie ustała do znaku... Wszystek się wymknął... szukał, na kogo by ją wylać. Z pola dojrzał kobietę, która ~~rosła~~ z ~~[illegible]~~ wchodziła pod tracz...

— Aha! Tuś mi dziadówko! — mruknął z cicha i w jednej chwili był już na traczu.

— Kto tam włazi? — spytał sobko.

— Dyć pono Margośka...

— Po co ona tu łazi?

— Po trociny...

— Słyszysz ty! — krzyczał, nachylony ku pile — Wynoś mi się stąd zaraz!.. Bo jak pójdę, to ci kości popoprzetrącam!.. Rozumiesz, co ci gadam!..

— ~~Dziękuję jej~~ Niebożczyk — rzekła cicho wdzięcznie — ~~[illegible]~~ mienali ~~[illegible]~~ — Dyć trociny, nie mąka...

— Jużci! ~~[illegible]~~ Na dziadów będę robił?!.. Na komorników?!

+ Słyszysz! — krzyczał schylony — Wara mi stąd, ~~[illegible]~~ spod tracza, bo jak zejdę...

— Już idę! nie bójcie się! — ~~[illegible]~~ zahuczało z pod ziemi i wnet wynurzyła się kobieczina niska, okryta ~~[illegible]~~ płachtą i ~~poszła~~ po łące płaczący za wodą...

— Bóg was skarze, gospodarzu... — doleciało ku pile.

— Zdechnij suko! Skąpy! zmarnuj!.. — krzyczał Chyba — Odrzynnie patyka nie weźmiesz...

— Nie proszę!.. — przyleciało z za wody.

— Chciałbyś ~~[illegible]~~ skuruta, to ci nie dam!

— Nie proszę...

— Komornicy! Pfu! Dziady!.. — splunął ~~[illegible]~~ na bok i zwrócił się do chłopów.

– Przyjmij to na swój zagon, to ci się tak odpłaci! Słyszcie co mi odpowiadała, że mnie nie prosi! Zjedz ty dyabła, szczenię! Kortny dziadu! Padam jej: Przyślijże mi Jóżka do roboty... Nie! Zapłać pierwej, to przyjdzie!... O, ciekawość ty! To myśli – na moim gruncie siedzisz, a nie pomożesz, nie poślesz do roboty?... Zjesz ty kopę dyabłów, jak cię wygnę! Ja najemnika wynajmę i zrobi mi, a bez ciebie się obejdę! Tak wej, przyjmij dziadów na komorę, toby wnet tobą rządzili... O ho, ho, ho! Pomaluśku!

Wygadał się, wygadał, posiedział na chwilę przy chłopach i jenkor go opuścił. Tak zawdy. Pierwsza złość musiała się koniecznie na kim okrupić – potem był już chłop zwalny i do rzeczy.

– Któż każe to rznie? – spytał Sobka.

– Dyć Łatrowie...

– Dużo mają?

– Pięć kóp desek.

– Ehm!...

Liczył po cichu... Cztery centy od deski...

– Do młyna nikt nie przyniósł?

– Nikt...

– Ta ku zimie, to się tu przyśpią...

– Któż wie...

– Co ta robicie w chałupie? – spytał Burchstarego.

– Nic nie robię... Chodzi tak, z czem może... zawdy... coś...

Spatrał na Jaśka i wyjąkał cicho: „Dunaj! Możeby do sądnego dnia...“ – Co on robi?

– Gonciarnię!

– Dyć wszystek robi...

Siedzieli długo przy watrze i gwarzyli. O komornikach zabaczyli do chwili... cóż ta o to? Z Chybką warto pogadać, bo ciebek walny i spusty do tego i młyn naprawi sama woda pojedzie wiosnę – mówią ludzie. Więc nie dziw, że mu biedni chałupnicy zazdroszczą tego, że przy wodzie siedzi...

———

ements

che

ng

....Antrag/Anträge auf Zuteilung
stoffe und bitte, die beantragte
l davon zu bewilligen.

Im Auftrage.

Komornicy

R. III.

s. 40-58 wyt. ob.

Regierung des Generalgouvernements
Hauptabteilung
Wissenschaft und Unterricht

Zl.Wiss.I B 716

An den Herrn

Leiter der Hauptgruppe Gewerbliche
Wirtschaft,Gruppe Handwerk
Abteilung Rohstoffbewirtschaftung

K r a k a u

Reichsstrasse 61/63

Ich übermittle ....An
bewirtschafteter Rohstoffe
Menge oder einen Teil davo

...Anlage(n)

III.

Siedziała i Margośka przy wodzie, a niedorobiła się niczego.
Jaka bieda była – taka i została. Gorsza nawet, ~~bo póki~~ nie,
to gorsza! Póki nieboszczyk Szymek żył, to się oganiali, jak
mogli. Zapobiegliwy on był (Panie! świeć mu wiekuiście!) i
nie ciągnął se pracy. Próżniakowi przecie nie oddałby był nie-
boszczyk Chyba placu na chałupę – bo za co? Skrzepił on go ne-
tknie, jak i nieboszczyk... Ojciec go, jużci drzewa dał na izbę
na pokrycie, kopę gontów i ~~łat~~ desek... Niewiele mu dopo-
mógł. Ale też i Szymek zasłużył na to. Bóg świadkiem.
Sześć lat służył uczciwie, a skoro się ożenił, to roku nie
było, żeby nie pomógł w polu... Darmo! Już on wzięty nie wsta-
nie, nie pójdzie, nie pomoże...
– Bo też i niema komu! – mówi Józek. Prawdę mówi... nie
ten to, nie ten Chyba! Ani w palcu podobny do ojca!..
Jeszcze ludzie, odmienice... A zresztą nie obowiązani są przecie.
Ojciec dał, ~~to mu~~ ojciec pomógł, to też robili ojcu i
nie ciągali se nigdy przenigdy... Ale syn, taki harny –
to niech se se upyta... Chciałby Jaśnio, żeby darmo – a tu przecię
nikt nie pies, coby musiał... Mój Boże! Żyć już pani-
ny nie dawno przeszła... Żyć trzeba, no i myśleć, skąd
wziąć na to życie... a tu skąd?.. Gruntu niema, ani
odrobiny, to trzeba szukać zarobku... i robić tu za
darmo!.. Dziwny ten Chyba ~~...~~... Józek nieborak
dzień po dniu przy fornalach... Bóg zapłać, że choć
tyle zarobi... Bo czemby one żyły?..

W chałupie nie ma nic, oprócz trzy pięty ziarna... bo skądby się
nabrało? U Buriacha dostały zagon pod ziemniaki, to ukopały
dwa korce i miarkę. Grochu też zebrały coś garnice – i tyle dobytku
na całą zimę, aż do wiosny... Na to ich jest troje w chałupie:..
Matka, Józek i Zosia. Jak się tu ognać tej biedzie i nie dać
jej przystępu? Naprózno matka łamie sobie głowę.. Nic,
poradzić! Ale być wola boska na wszystko! – powtarza sobie
często i dodaje odwagi. Przeszłej zimy też ich przywarła ta
bieda, ale nie doznaku. Roboty, mieli chwała Bogu! Matka
przędła ~~...~~ len, wełnę, Józek ~~...~~ chodził na młockę i zarobili
na jadło. A jak roboty nie dostaną? – Margośka bała się
o tem myśleć. Cóżby oni biedni poczęli?. Sprzedać nie ma
co. – Przeczyni szedł przednówek, a łaszki ledajakie – nikt nie
kupi. Sprzętów nie ma żadnych... Dwie ławy, stołeczki dwa ~~...~~
i jeden mniejszy, na którym teraz siedzi, oskrobując ziemniaki
~~...~~ zupełnie i rzucając ~~do garnka~~ na miskę..

Zosia jej pomaga na kluczku, dziewczę jasnowłose, wybladłe, mało co młodsze od Wojtka Chybowego. Umie ono już zrobić niemało, matkę w czem ten wyręczy, choć takie młode. Mądre za trzech ludzi, a na matkę nic nie da powiedzieć. Wojtka strasznie lubi, oddawna. Bawiła się z nim od maluśka i pasała krowy przy jego bydle. Tego lata nie pasła, bo Chyba im paść nie dał. Po urwiskach musiała sama pasać. Często się jej okrutnie, ~~za Wojtkiem, bo bez~~ nie chciała z kim figlować po ugorach. ~~Woj~~ Rada mu była, choć jej ciwraz na de-[illegible] robił, jak chłopczysko! Umiał za to grać pięknie i grywał jej przy bydle, ładnie grywał!.. Zbierała się za niego, jak mu ojciec potrzaskał pierwsze skrzypce. Za to też przylatywał do nich wieczorami i grał w izbie. Matusia też rada go widzieli, choć i skrzypiec nie przyniósł ze sobą, bo chłopak był dość wesoły, ino sierotak. ~~Kie wyrośnie. Ona~~ Ale on ta wyrośnie...

– Kie wyrośnie? – spytała raz ciekawie matki.

– Jak będzie taki! – pokazała do słupa.

Zośka ~~[illegible]~~ zapamiętała sobie, pokąd matka naznaczyła i jak Wojtek przyszedł, kazała mu stanąć przy słupie.

– Niby na co?

– Nie pytaj się, ba stań!

Usłuchał jej, a ona węglem zrobiła kreskę ~~przy~~ nad włosami.

– Jeszcze ci daleko do kaitela! – pomyślała sobie i sama się zmierzyła przy słupie. Mało co była niższa...

Odtąd mierzyli się prawie codzień. Kreski się podwoiły [illegible], jak wskazówki na zegarze.

– Tyś taki, a ja taka! – pokrzykiwała z radością i śmiali się, aż dudniło w niskiej, okopconej izdebce.

Dziś Wojtek nie miał ochoty do śmiechu. Poskurczał się na ławie ~~na ławie przy okienku nalepie i grzał~~ wyciągnął bose nogi na nalepę i grzał je przy ogniu. Patyki trzaskały koło garnków. Ogień czasem walił się na izbę i uchodził po otwartemi drzwiami do sieni.

– Wojtek, zmierzmy się! – skoczyła Zośka do słupa i kusiła oczami.

– Nie mam czasu... ziąb!

– Zmarzluch!

Niechętna wróciła do skrobania.

– Będziesz mu tę prosił drugi raz... czekaj!

– Skrob wszystko! – nagadała ją matka, a chwilami myślała: – Czy on też prędko wróci? ~~Ta~~ Dzień cały bez obiadu...

Myślała o Józku, swym synie, który pewnie, jak codzień, do Jornali. Zjadł na rano ziemniaków parę i robi tak cały dzień, o głodzie... Biedne chłopczysko! Nie je, nie wyśpi się do woli, ino idzie, wciąż idzie i zarabia, co zdole... ~~Dyć żeby~~ ~~Pokiela ta~~ ~~że pobyli starszy, to~~ tyrzmie i tak pójdzie aże Zeli... Dyć żeby nie on — Mocny Boże!

Wstała, pozbierała łupiny do zapaski i wyniosła do sieni. Będą miały krowy uciechę!...

— Przynieś no Zosiu tarkę! — rzekła, wchodząc do izby. Zosia podbiegła do ~~półki~~ ściany, zdjęła z gwoździa tarkę i przyniosła ją matce. Ta tymczasem ~~poszczy~~ wyjęła z półki dużą miskę, ~~i siadła sobie~~ postawiła na ławie i siadła przy niej. Tarkę oparła o dno miski, brała ~~[illegible]~~ po jednemu ziemniaki oskrobane i rozcierała ~~je~~ na tarce.

— Będą kluski ziemniaczane, będą kluski ziemniaczane!... ~~powtarzała~~ śpiewała Zosia, klaszcząc w dłonie i z wielką uciechą ~~bosemi~~ podrygiwała bosemi nożętami przed Wojtkiem.

— U nas codzień są... a nie jem! — mruknął Wojtek.

— Aleś u nas jadł!

— To u was!

Margośka wnet uwinęła się z tarciem. Wzięła ~~ścierkę~~ myty czystą, rozłożyła ją nad próżną miską, ~~wyciskała po trochu~~ starannie tarte ziemniaki i gniotła obok umiejętnie. Następnie wyjmowała ~~z~~ ziemniaki tarte i gniotła w rękach nad miską. ~~Suche, ciasto, bez wody~~ odkładała i dalej gniotła do ostatka. Pod koniec zlała wodę ~~z~~ z miski, na dnie której ~~utworzył~~ stał biały krochmalowy osad. Pomieszała go z ciastem i udała się z miską ku nalepie. Tu odstawiła garnek, odlała trochę więcej wody i zaczęła do garnka gnieciane w palcach gałki... Wojtek usiadł się z nogami i razem z Zośką przypatrywał się ciekawie szybkim czynnościom matki.

A ona, robiąc kluski, myślała dalej o swym Józku.

— Nie widać go... tak późno. Czy mu się też co nie stało — Boże uchowaj! O tym czasie przychodzi... Przynieś no Zośka ~~gałęzi~~ patyków na ogień!... Noc ciemna — oko wykol... a on zawdy ze siekierą... czy się też nie pośliźnął kiedy, abo co... Matko cudowna, ochroń!... ~~Nie ruszaj~~ Nie wyciągaj ręki Zośka, bo się oparzysz!...

Wtem rozległ się tętent przed sienią.

— Idzie, idzie! Chwała Bogu...

Odstawiła miskę, przysunęła ~~bliżej~~ garnek do bliżej ognia i usiadła w kącie, czekając.

Do izby wszedł chłopak, wysmukły, jak tyka.

– Jest wieczerza? – zawołał od progu.

– O, jest, jest! – odpowiedziała uradowana matka. – Jno ciebie tak długo nie widać...

– Cóż chcecie – nie próżnuję!

– Dyć wiem, moje dziecko, ale się boję o ciebie...

– Nie ma o co!

– Tak nie gadaj, Józiu! Jno Pana Boga proś, żeby cię zachował...

Włożył czapkę za ziebiernik i usiadł na ławie. Matka cedziła kluski nad cebrzykiem. Zośka ~~z Wojtkiem podeszła~~ i Wojtek przybliżyli się z obu stron do Józka. Nie widzieli go cały dzień. A bardzo mu byli radzi, oboje.

– Coś ta widział? – ~~spytał go~~ zagadnął Wojtek.

– Takich, jak i ty, próżniaków

– Kany?

– Wszędy ich pełno. Masz skrzypce?

– Nie mam.

– Czemu?

– Bo nie zdołał dopaść, jak mnie tatuś gonili...

– Gonili cię?

– A jakże! Codzień mają ze mną ~~[illegible]~~ takie nowinki...

~~Matka~~ Margośka wysypała kluski na miskę i wlała do nich słodkiego mleka.

– Podźcie! siadajcie! – prosiła, wyjmując łyżki z za łyżnika.

Przybliżyli się, Zośka pierwsza. Józek się przeciągnął, z wyglądem i siadł z kraja. Wojtek został na ostatku.

– Podźże i ty Wojtuś! czego cofasz się!..

– Jedźcie.. ja nie będę...

– Dziw ty! o godzinie jedzenia spać? – ~~zawołała~~ zgromiła Margośka. – Siadaj zaraz!..

Wojtek siadł, nie dał się długo prosić. Jedli jakiś czas w milczeniu, Matka z miłością spoglądała na Józka.

– Zmordowanyś?

– Ba! co myślicie? od rana...

– Jakże ci się ta wiodła?

– E tak-ta, nienajgorzej... Jeździliśmy pod Trębacz, ku samemu wierchu... Droga zła – niech Bóg broni!..

– Rychło zwieziecie?

– ~~W~~ Do zimy, bo to już ostatki...

– Ogołocili ~~te~~ ~~łany~~ góry doszczęta...

— Ba! Dyć hrabiowie tak gardują...
— Mój Boże!
— I patyk suchy nie zostanie... Żydy zabiorą...
— ~~Wszystki~~ I palić czem nie będzie...
— Kto się ta o to ~~frasuje~~?
— Blisko nie ma rikaucy... ~~Teraz ściele wybierać na zimę~~ najwyżej garuję.. Ja się trobyję, czem będę ścielić bez zimę tym koziętom.. Postawi kasi na Fraczczysku myśle se: wezmę trocin...
— Po co tam chodzicie? — mruknął Józek.
— Dyć słuchaj!.. Wezmę ~~trocin, choćby~~ do parobka i będzie ta raz kila czas podrzucić... Coby! Zastąpił mi ~~[illegible]~~ na tracu..
— Kto?
— Chyba stary, jak i ociec Wojtków...
— I nie dał?!
— Juści nie dał. Zkumirował mnie, sponiewierał i odesłał z niczem...
— Stary wilk! — mruknął Józek i położył łyżkę.
— Jedzcie jeszcze?
— Nie będę... Niech on se pamięta, że do czasu nie chodzi ~~[illegible]~~ stułka! ~~Zgadek~~ Okpis, djable rokito!..
— Tak, tak.. Pedział, że nas ~~stąd~~ wyrzuci, że...
— Niechże się miarkuje! Bo i na niego kolej przyjdzie... Bogacz! ~~skąpiec~~!

Przewrócił stołek i usiadł cicho ~~na~~ pod oknem na ławie.

— Ale ty Wojtuś zaś ojcu nie mów, że my ta o nim gadamy... — ostrzegła Margośia.
— Nie bójcie się! — odparł z fantazyą — Choćbym mówił, to mi nie uwierzą... ~~Tak mnie nie radzi słuchać~~...
— Czemu nie jesz?
— Nie będę... Znowuby mi spać nie dało?
— Co?..
— Jak se więcej powieczeram, to mie siodło dusi...
— Bogacz przeklęty! skąpiec! — mruczał Józek pod oknem.

Matka pomyła ~~[illegible]~~ łyżki na misce i pomyje zlała do cebrzyka.

— Pódziemy spać!.. Ty Wojtuś, kajże będziesz leżał?
— Ja kajtędy!...
— To ostań. Legniesz z Józkiem, abo i ze Zośką.. A jak, to ci na ławie pościelę i wyśpisz się ..
— Ale nie chrzestnamatko, ja pódę i wlezę do szopy ze boiskiem. ~~A rano, jak się dzień udobrucha, to wlezę~~ do izby i będzie. Rano mnie nie najdą zawczasu, to się wyśpię...

Mówiąc to, obłapił „chrzestnymatkę" za nogi i wybiegł.

— A jutro przyjdę ze skrzypcami! — zawołał ze sieni.
— Przyjdź! — wyleciała za nim Zośka — jno se nie zabaw!..
— Nie zabawię!... — leciało od wody.
— Zośka! pacierz zmów i ~~do~~ legaj! — wołała matka. — A ty Józiu ozuj się, bo już czas...

- Jutro święto... — rzekł Józek.
- To trza do kościoła...
- Ktoż pudzie?
- Ty możesz iść na sumę... Ja-by szła, ale ni mam ~~[illegible]~~ co odziać...
- Ja pudę, ja! — prosiła Zośka.
- Ty mów pacierz! Słyszałaś?..

Za chwilę wszystkie troje spali snem kamiennym.

Nazajutrz z ranaześniadali, co mogli i po długich certowaniach przystali wszyscy na to, co matka radziła.. Zośka wygnała kozy do cierniaków, ~~Józek~~ matka gwoli [illegible] odzienia rostała w chałupie, a Józek się zbierał na sumę.

- Zwijaj się rychło, bo czas leci! — napierała matka. — Grzech nie zastać kazania...

Obuł kierpce, wdział białe, sukniane portki.

- Dejcie mi koszulę! — zawołał.

Podała mu z kołka upraną świeżą, wyprasowaną należycie.

Włożył ją, odział ~~[illegible]~~ na nią serdaczek biały, bez rękawów, na ramionach zawiesił cuchę.

- No, już idę!
- ~~[illegible]~~ Nie baw się po drodze i nie siedź długo... A zmów ta pacierz i za mnie.

Odała, gdy wychodził ze sieni. Następnie pomyła miski od śniadania, zamiotła glinianą podłogę i usiadła pod oknem na ławie. ~~Na ławę patrzała przez~~ Siedziała chwilę dość długo, pogrążona w cichej medytacyi i drzymać się jej zachciało. Wstała przeto, wzięła różaniec ~~i wyszła do sieni~~ i poszła przed sień na pole. Tu siadła na wysokim progu, twarzą ~~[illegible]~~ zwrócona ku wodzie. ~~Zaczęła~~ Przeżegnała się potem i zaczęła szeptać pierwsze części różańca. Szeptała pamięciowo, bez przerwy, a myśli jej leciały przez głowę, coraz to insze...

Widzi: ludzie idą ~~[illegible]~~ nadół poza wodę... idą na sumę ~~[illegible]~~ do kościoła, z bliska, z daleka i zewsząd idą... Poszłaby i ona z nimi razem pokłonić się Matce najświętszej... Trudna rada! Nie ma co odziać... nie ma... a w potarganych łachach, to nie honor Panu Bogu i grzech przecie niemały... Możeby ta Panienka przyjęła, nie odrzuciła, ale gorsi ludziska, gorsi... Śmiechy, kpiny...

- Zdrowaś Marya, łaskiś pełna... — powtórzyła głośniej, odganiając się gwałtem cisnącym się myślom. Ludzie przeszli już na dół i nie widać za niemi żywej duszy... Gwara z nikąd nie leci, tak cichutko... ~~Ino się woda szumowy po kamieniach~~ Ino woda bulkocze po kamieniach, i pieni się i huczy... Nie spocznie, nie ucichnie, ino ~~[illegible]~~ wre bezustanku.

Skąd jej się tam tyle nabrało? — myśli sobie — Co noc, co dzień, bez przerwy... Jedna fala i druga i trzecia... bezustanku. Płynie se ta do morza po nizinach... Mocny Boże! Jakeś Ty to przedziwnie

urodził... tyle świata! i cudów tyle na tym świecie...

– W Imię Ojca i Syna... – żegna się już coś dziesiąty raz, chcąc odegnać nieproszone myśli.. Same lecą przez głowę, jak rój trzmieli. Mówi, mówi, rachuje paciorki – a przed nią woda buczy w potoku... Szum dolata, kotyrze, miesza pacierz, powraca i ginie... . .

Tak szumi wszystko do koła – tak biegną fale i pytanie... Mój Boże! – myśli sobie – płynie se woda wartko do morza, płynie... a po ucieka życie, ucieka... A czas leci, dzień po dniu, rok po roku mija... czas leci i dogania, dogania, dogania....

Usnęła przy ostatniej części różańca. Józek tymczasem doszedł do kościoła. Sygnowali trza szumnie, kiedy był w fabryce: nie czekał na wypłatę, ino poszedł, bał się nie zastać kazania. Ale i tak, bo kazanie już było, gdy dopchał się w ciżbie do furtki kościelnego cmentarza. Narodu zeszło się mocno, jak zwyczajnie w dzień ta dny(?). Kościół mały nie mógł pomieścić wszystkich zgromadzonych: Koniuszan i Porębian i moc innych narodów. Oblegli tedy kościół, a ksiądz musiał kazanie prawić na polu, bo w kościele zaduch straszny i gorąc... Józek stanął przy furtce i nie pchał się dalej. Usłyszy i stąd, bo ksiądz głośno prawi i dobitnie. Stary Chyba znalazł się przypadkiem naprzeciw niego. Ale cóż robić – cofnąć się nie uradzi, bo ciżba..

– Niech już będzie na bożą borkę(?). Ja się tu z nim kłócił nie będę – uspokoił się i słuchał kazania.

– Tak moi mili – mówił ksiądz nawiązując do przeczytanej ewangelii o bogaczu i biednym Łazarzu – tak moi mili bracia w Chrystusie i siostry! Przypowieść ta poucza nas, jak mamy obchodzić się z biednymi, sierotami!.. Kto ma więcej, ten winien podzielić się z biedakiem!..

– Czy on też słucha? – myślał Józek, poglądając ukradkiem na Chybę.

– Winien dać żebrakowi jałmużnę!.. Nie poniewierać sług, najemników!.. Bo za to wszystko Pan Bóg karze!.. Słyszeliście jak pomścił bogacza, a Łazarza wziął na łono Abrahama!.. Tak się z wami stanie, bogacze, co nie macie serca dla bliźnich swoich!...

– Słucha – mruknął Józek.. – Niech słucha, bogacz [illegible]!

– Zdacie wy kiedyś rachunek przed Panem z liczby dni włodarstwa swego... A zaprawdę powiadam wam, prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, niźli bogacz do

Królestwa niebieskiego...

– Widzisz tych! – pomyślał Józek, patrzący na Chyłę.

– Ale i biedni – prawił ksiądz z dala – niech nie zazdroszczą bogaczom w ubóstwie swojem, bo przed Panem mają pierwszeństwo ubodzy w duchu, ci, co się nie przywiązują majątkiem swym, ale w cichości serca swego mówią: Panie! Tyś dał! Ty możesz wziąć – niech się dzieje święta wola Twoja. Amen.

Chyba odetchnął... On przecie zawsze był ubogim na duchu i nie wystawnym. Broń Boże! Wolał dawniej pokazać wszystko, a że mu zazdrościli, to nie jego wina, ba ich – tych dziadów, komorników! Naprzód im ksiądz w oczy niemało... Ino czy było z nich który w kościele? – myślał, oglądając się, bo Józka nie dojrzał. –

Lud postąpił się przed księdzem, który odczytawszy wypominki wszystkie, jął ubierać się na sumę.

Niezadługo zabrzmiał dzwonek od zakrystyi i organy zahuczały w kościele... Lud się poruszył. Jedni do ołtarza cisnęli się, by księdza widzieć przed oczami, inni poklękli na kamiennej posadzce i zwieszali na dół głowy – jednako ofiarując swe troski Panu Bogu – i biedni i więcej biedni...

Po skończeniu sumy, młodzież pierwsza opuściła kościół i rozpraszała się gromadami po rynku. Wyszedł i Józek za innymi i medytował, co ma robić: iść do chałupy, czy też pogwarzyć z towarzyszami, albo i napić się przy okazyi... Zwyciężała druga myśl, tem więcej, że nie miał po co spieszyć się do domu. Na obiad? Jaki tam obiad będzie! Przykazała mu wprawdzie matka, żeby się nie bawił, ale dyć matka na to, żeby miał kto przykazywać... Bo inaczej, kogóżby się nie słuchało?

Uspokoiwszy w ten sposób drażliwe nieco sumienie – przyłączył się do pierwszej gromady, obradującej w skupieniu. Byli to prawie sami młodzi i biedni synowie komorników.

– Idzie Józek! – ozwało się paru – może i on przystanie?

– Niby na co? – zagadnął

– Podź bliżej, to się dowiesz...

– Zabieramy się do świata...

– Na zarobek?

– Dyć nie na pielgrzymkę! Będzie nas kilkoro... Stasek od Liberdy, Kiełbasiak, Leon... Może i ty pójdziesz z nami? To powiedz!

– A kaj wyśliecie ~~iść~~ iść? – spytał Józek.

– Myślimy do Peszta... A jak tam roboty nie dostaniemy, to i dalej...

– Pisali że siedmiogrodzkie ziemie – pojęt imny – że się tam ta wiele poradzi... Zarabiają po dwa rynśki...

– Ho! ho! ho!

– ~~Dyć dobrze~~ Dyć my tu nic nie wysiedzimy. Zje się to, co w chałupie i na przednówek kupuj – jak masz za co!.. A tu roboty nie dostanie, bo kany? Panu Bogu by człek okale ze ziemie wyjmował, żeby go zjadł... ale trudno spuszczać się na wolę Boską i czekać śmierci.

– Ucinaczy!

– Tam przecie zarobimy, choć na jadło... A da nam Pan Bóg zdrowie – to i do domu przyślemy kiela tela, jaki grajcar, choć na sól.. Zbieraj się Józek!

– Dyć dobrze.. ale cóż my tam w zimie będziemy robić?

– Co się pytasz! Dla ochotnego zawdy się robota najdzie...

– Na zimy tu wracają...

– To leniwce, nie chłopy! Boisz się mrozu, czy co?

– Cobych się bał? Dyć i tu w zimie nie bedę siedział za piecem, ba ~~abyć musz~~ zięknąć muszę i szukać zarobku...

– Pokiela jest! A jak fabryka stanie – to co? Będziesz zdychał z głodu i litował się nad swoją śmiercią?! ~~Matki to ni mam~~, Żebyś to jeszcze sam był – ale matka!.. Co ona se poradzi?

Ostatni argument uderzył silnie w niezdecydowany umysł Józka, zaskoczony tak nagłą, niespodziewaną propozycją.

– Co tu począć?

– Pódź z nami! Nie zwlekaj, nie odkładaj... ~~bo to najgorsy~~ ~~[illegible]~~ bo to zawdy najgorsy... ~~nie zawadzi~~!

– Muszę się matki poradzić..

– To się poradź! ~~Kto~~ Dyć ci nikt nie broni!..

Poczęli gadać o ~~nadziejach~~ zarobkach, jakie ich czekają. Zdawało się, że tam już wszystko przygotowane na ich przyjście. Każdy weselił się złotemi nadziejami..

Nagadali się dowoli i słońce zapadło za góry, a jeszcze ~~sto~~ stali kupą na Niedźwiedzkim rynku. Wreszcie ~~poczęli się rozchodzić~~, ogadawszy sprawę ze wszystkich stron, mosty wyśli, poczęli się rozchodzić i tracić po jednemu.

– Pamiętajże, na wtorek! – zawołał parę Józkowi, gdy odchodził –

– Dyć bedę widział... – odrzekł ~~jen~~ głośno, zabierając się ku cha-łupie. Mrok już zapadał na dolinach. Wirchy jeszcze
+1/ płonęły zorzą zachodu.

Drogą w Koniński szedł Jasiek. Szedł raźno i medytował po cichu.

– Dobre, bo dobre... ale ktoż wie, co cię tam może trafić? Obce kraje, nieznane... gwara inaksza jakaś!... A tu człek niewywyczajony po świecie... bo skąd by? Na odpust szedł najdalej do Ludźmierza, abo jarmak do Rabki... i tela świata widział!. No nie wiem – rzekł po dłuższej – cóby też na to matusia pedzieli... Żal by im było samym ostać... Ani im kto drew przyniesie, ani gnatków uszykać!... No ależ trudno mam tak charować la niczego... I centka nie złożę, nie zaoszczędzę... bo skąd? ~~[illegible]~~ Dziś dostaniesz – dziś oddaj. A tu roki lecą, czas ~~[illegible]~~ pędzi... Dobre, pokiela do fornali chodzę... A jak się urwie i ten zarobek... co będzie? Tam byłbym zdolał zarobić i zaoszczędzić, choć co... A tak!.. Nie wiem doznaku, co poczęć... co poradzić...

~~Zatrzymał się na drodze, w~~. Droga się rozdzielała. Jedna szła do Poręby prosto, druga do Koninek, na lewo. Skręcił wolno i szedł zamyślony, tocząc walkę wewnętrzną. Jechać, abo nie jechać? Trudna rada... ~~Na~~

Nagle przystanął na zakręcie. Usłyszał śpiew i muzykę wesołą. To w Żyplowej karczmie, ~~przy~~ na pograniczu Koninek, grali i tańcyli. Chciał iść dalej i minął parę kroków. Zaraz, wstrzymały go jednak ~~m~~ skrzypce – ~~zawrócił do karczmy~~. i przyciągnęły spowrotem. Zawrócił do karczmy. — . —

ments

che

ng

....Antrag/Anträge auf Zuteilung
stoffe und bitte, die beantragte
. davon zu bewilligen.

Im Auftrage.

Komornicy

R. IV.

s. 58-69

na k. 18v fragment?

nents

che

ng

....Antrag/Anträge auf Zuteilung
stoffe und bitte, die beantragte
l davon zu bewilligen.

Im Auftrage.

IV.

Żydowa karczma niemałą miała sławę w okolicy. Stała przy drodze na pograniczu Kominek i Porąbki. Kto szedł lub jechał na jarmark czy z kościoła, musiał tu wstąpić i zagrzać się na drogę. Żydzi, lub Żydowe naprzemian wódkę stawiali, wypatrując oczy na gościńce. A starali się tak mocno, że niesporada było minąć. Na niedzielę i święta muzykę najmowali dla uciechy młodzieży z obu granicznych wsi. Schodziło się tu bractwo na tańce i pohulanki. Poza tem karczma ta miała znaczenie polityczne, społeczne i wiele innych znaczeń. Tu obradowały często rady gminne z wójtami na czele, tu zasiadały długie posiedzenia miejscowej rady szkolnej, tu się odbywały krwawe kampanie narodów okolicznych, tu wreszcie co noc wodziło „coś" starego Kozery...

Co główne — był miejscem tanich uciech dla wszystkich i nie bardzo kontentnej [illegible]. Wyskakują się młodzi na sucho, zamiotą rzędowi podłogę, a starzy się napatrzą, zbaczając se, jak oni to za młodu wojowali...

Siedzą w alkierzu i piją, sami poważni gospodarze. Nie brak i Żyda [illegible], niby starego chyba — rzadko on tu [illegible] zagrodzić. Wójtowie obu koło niego i wielu [illegible], niebyt krzykliwie. Poważną gwarę tu słychać i śmiechy, niebyt krzykliwe.

W izbie rynkowej za to ścisk panuje nieustanny. Gwar, kłótnie, krzyki, śmiechy tworzą chaos jakiś dziki i nieludnie, nerwy zdają się tętnić w tym tłumie. Konie wrzeszczą — beczenie jagniąt, rżenie, kwiki — z matki góry z piskiem, z kurtą, ryk — i ciche skowyty... ponadtem rżenie koni i huk spędzonego tabunu.

Lud się bawi!..

— Warży! stróż!!

Pędzi konno z góry par dwadzieścia.

Ma jakąś piekielną harmonię ten zgiełk przeraźliwy. Czasami wrzaski cichną — wtedy słychać rytmiczne tupotanie, chrzęst podłogi i głośne zawodzenie skrzypiec.

Sobek prowadzi — Porąbianie kręcą się po kątach...

Urywane zdania wylatują z natłoku.

— Harbiś!
— Dyć się nie pchaj!
— Będziesz mie ty chciała?
— Ja nie wiem..
— Na bok dzieci! — woła Sobek, nawracając.
— Hus! hus!

Fruwają chusteczki, kołyszą się piórka na kapeluszach.

Przy organiście racz się ~~[illegible]~~ odezwali:

— Wrzę!

— Dyj Boże!

— Na tę naszą biedę..

— Biedny Kochany!

W kącie chłopi obstąpili Jaśka ~~ja~~ dopytując się o gorzelnię, a racz go, czem mogą. ~~[illegible]~~ Podpił sobie setnie i rozwiązały się mu węzadła mowy.

— To będzie, moi mili... ~~[illegible]~~ maszyna do gontów... Niedziela, ze trzy łokcie... Będzie rznąć i hyblować i fugować razem...

— Ale wy się kumie na mnie nie markoćcie.. bo u mnie tak:

— Dyć ja wiem!

— Jakem dobry, to dobry — a jak mnie napali, to trzasnę w łeb i księdza.

— Na bok dzieci! — wołał Sobek ~~na środku i śpiewa~~ naszczerzając

„Pokochałaś mi miłą być —

Pokochałaś mnie nie zdradziła...”

Hus! hus!

Tańczył na środku z Kozerową Hanką.

— Każde bydlę ma swoje węgły — tłumaczył ~~kiwisło~~ Kumotrowi.

— Ani my nie zdaleka, ani zblizka...

— Przecie się lubimy!

— Wrzę!

— Dyj Boże!

— Na tę naszą biedę..

— Biedny Kochany!

* Odedrzwi ruszyli fale, stojący w progu ludzie.

— Co tam?

— Rycerze idą!

— Dawać ich tu!

Porozmykały się pary. Przez próg do izby skoczyli dwaj Sowreculki. Chłopaki porwali na ławy. Sobek się usunął. Nie chciał być drugim, ~~[illegible]~~ prowadzić nie mógł... bo ~~Ostatny [illegible]~~ rycerze!

Stanął już Łapie przed ~~[illegible]~~ muzyką i zaczyna:

„Dejże Boże szczęście

Na pierwy początku —

Jeszczech nie tańcował

od Zielonych Świątek...”

I ruszą z góry, jak pochyłem wodą, gdy się zdaje, że wnet na łeb opadnie. Tuż ze nim młodzy, niby smarek co mu dwadzieścia wiosen przeszło... A zapiedzi pary.. chłop w chłopa!

Dyple dudzią, porwała się Trzosie, huczą basy, a skrzypce drżą od Ducha.

„Chłopcy Koniuszanie! Każcie sobie zagrać
I-no se nie dajcie — czieprzyjaczki zagrać!"

Smrecek prowadzi — Porozbierali się chyłkiem sznurem...
Z alkierza wyszli gazdowie i ~~st~~ postawali przy drzwiach.
Szumne chłopcy! — padają — warto się im popatrzeć! Jak się niosą!

Szumi, pióreczko szumi — wysoko się niesie!
„Idzie ryś po hudziach, idzie ryś polesie!.."

A naprzeciwko, Smrecek dojrzał Chyby i ze śpiewem ~~[illegible]~~ pod nogi:

„Niema, ci to ni ma, ~~jako~~
Jako Zbyduszykom —
Idą im piniążki,
Jako woda rzykom!.."

~~Chy~~ Starego pogłaskało, że o nim pieśni idą... Komu-by tu śpiewali; ~~jak nie jemu~~? Gwary przycichły ~~[illegible]~~ — ~~taniec~~ kazanie ~~tu~~ z góry zmieniało się pomiętu we „wszystkie tańce". ~~Coraz słowa~~... Żwawo, żwawo, powiewały „zwarte, słowa zamierały na wargach — wszyscy zeszli się już tańcem... ~~Wiatr~~ ~~Brat ich pomył~~ ściągał... Dymią piersi, krew kipi, gorączka ~~ich opadła~~ nadchodzi...

- Nasi Tańce!
- Goniący!
- Wartko!
- Krok!
- Trzymać się!

„Sztyry ~~kozy~~ świecki, jeden ~~chłop~~ ksiądz —
Kto podołacy — będzie chłop!.."
Hu!

Rwie szybko potok gór — pieni się i faluje... ~~K~~ Dziki ~~a~~ rytm udziela się patrzącym, pociągnęły stopy i przytupywać... Dzieci ustać nie ~~zabaczyć~~ mogą — ~~[illegible]~~ okręcają się w kółko... Zda się, że izbę ~~[illegible]~~ pochłonie wir... Okna się trzęsą, ziemia skacze — wszystko się roztańczyło na zabój... ~~na śmierć!~~ ~~Życie~~, życie! pulsują żyły — tętni krew! ~~Oczy się śmieją~~ Roześmiały się dziewczęta, wargi drżą... ~~na zabój~~ na śmierć! oczy ~~na~~ ~~[illegible]~~ rozpalone skrzą... ~~na zabój~~! Ale śmierć!

Szał owładnął ~~[illegible]~~ już nimi. Wiater powiał gorącą falą, powietrze zgęstniało i dusi... namiętność wdycha się piersią... Szał! Omdlewająca rozkosz wre...

Zgrzyt — struna pękła. ~~Ustali~~ ~~Zatrzymali~~ Stanęli w pędzie — nadurwisko...
Strojenie skrzypce ocuciło ich — ~~do~~

- Co się stało!
- Dyć nic!

Posiadali, gdzie kto mógł. Dyszy ciężko. Wiele odeszło na pole. Gwar się rodzi, podnosi... Szybkie szepty... śmiechy. Poruszali się młodzi, starzy już piją na nowo.

Kozerą spotkał Sobek z szynkarzem. Spodziewał on się go już od południa!
- I znowu coś przewiedział? - spytał Sobek.
- No! Sobuś! To całe historye! Posłuchaj no, to ci opowiem...
- Ni mam czasu!
- To bieda! bobyś się dowiedział...
- Dyć-ci się zarzekali, że już nie podlecie do karczmy.
- Niczego się, moje dziecko, zarzekać nie trza!.. Jak się ma trafić - to się trafi...
- Ja to już rozumiem! - przerwał Sobek, chcąc się wymknąć starcowi.
- Zrozumiesz, dziecko, jak ci powiem... A nie widziałeś kany mojej Hanki?
- Dyć-idźcie wy do niej ojcze, to se jej poszukacie! - i odszedł na izbę.
- Harna sztuka! - mruknął za nim - nie będzie miała z tego Hanka pociechy... Wola Boska! Żydzie! - zwrócił się do Żyda - Dyć tu te boskie obrazy!..

Żyzel podał mu półkwaterek wódki. Wychylił i pogrążył się w nabożnej medytacyi...

W izbie szynkownej gwar się podniósł i śmiechy rozlegają się głośne. Cisną się wszyscy: starzy i młodzi. Kobiecina jakaś kręci się na środku izby z kordyjan, kto jej się pod rękę nawinie, przytupuje, i śpiewa:

„Starego dziada mam
Uschać-ci go muszę.
Boże mój, weźrzyj nań!
Wyjmij z nie[illegible]..."

A przy szynkwasie chłop już głuchy nowo kolejkę płaci kumotrom z wielkiej uciechy, że ma taką rzetelną babę...

Muzykanci, pod oknem usadowieni na ławie, nie mogą się ognać poczęstunkom - tyle ich rzesy... Grzela stary przy trzymie - zawołany grajek! Pobiela zdołe uderzyć skrzypce w zgłu, to ich nie popuści. Już mu się tak ręka wczwyczaiła, że mu sam smyczek chodzi. Ino zaśpiewać, niby miał kto?.. Nogą takt wybija, a nie pomyśli o półćwierci.

Umiał im każdy półgłosem, co kto lubi, a on wygra bez myśli. Próbuje skrzypiec, przygrywa, tupie i ~~okiem zaciąga ludzi do tańca.~~ uśmiechniętym zawdy okiem zaciąga ludzi do tańca.

Zmalał się tu i Wojtek. Obsiem petny - boi się iść do środka. Żeby nie ojciec... - myśli sobie. Ale nie może długo wytrzymać - wlazł na okno i szuka grosza do nieba:

- To-że grajcie!

„Obiecał mi tatuś
dwie wołki kupić
ale nie obiecał
ze skóry obłupić...“

~~Gonie~~ Dojrzał go stary Chyba.

- Tuś mi huncwocie!

Zamierzył się przyjechać do okna przez tłum gęsty - już Wojtka nie było...

Wtenczas Józek wszedł do Karczmy. Owiał go na wstępie gorąc i zaduch. Szukał, gdzieby siadł niewidziany i mógł się przypatrować z bliska.

Naraz muzyka zagrała skoczną nutę, pary poczęły się ustawiać. Ruszyło i Józka, ~~od pieca, stanął i on i wskazał~~ ~~[illegible]~~ zrzucił płaszcz, stanął i wskazał okiem Tanecznicy. Dojrzał go Łobek pośród innych, a on miał prowadzić wartki taniec. Ruszył się ku muzyce...

- Z Dziadami tańcował nie będę! - ~~Kury~~ zawołał gościce

- Man recht! - wtrącił Chyba - Jeszcze tu Komorników potrzeba! Dziadów ~~Krotuzy~~ wypędzać

Powstał tumult i wrzawa. Z początku nie wiedziano, o co idzie... spodziewano się bitki.

Józkowi krew zalała głowę i zatkało oddech do znaku. Stał chwilę nieruchomy...

- To Karczma dla bogaczów! - wykrztusił wreszcie.

- Nie dla Komorników! - śmiał się ~~Chyba~~ ~~Łobek~~, a za nim wszyscy w izbie.

~~- Mogę przecie tańcować - wrzasnął [illegible]~~

- Puść Karol!.. - wyjąkał Józek. Była chwila, że chciał się rzucić na wszystkich: bić, gryźć i targać ~~i zmiarkował jednak, że nie~~ bez pamięci!.. Zaraz jednak zmiarkował, że nie da rady... Ich tylu - on sam jeden.

Zarzucił czamarkę na ramię i wypadł.

- Każ pani! nie tańcować! - leciało za nim i śmiechy pogoniły ~~go~~ go w pole.

- Psie krwie! - pogroził pięścią. Wstyd i oburzenie ścisnęły ~~mu gardło, ale~~ za gardło, zimno i gorąco naprzemian dygotały mu członki [illegible]. Ustał chwilę na chłodzie i przyszedł do siebie.

- Uciec na koniec świata! - pierwsza myśl, która mu wpadła, gdy stanął na drodze, wiodącej do Kominek. - Nie widzieć ~~ich~~ już więcej tych ludzi, nie słyszeć ~~tych~~ śmiechów... Uciec, skryć się przed nimi!... ~~Albo nie~~! jak najdalej!...

Szedł wartko, to przystawał, to się zataczał, jak pijany. Kapelusz zdjął, pot otarł i chłodził głowę na wietrze...

- Albo iść, ~~jąć się~~ - myślał dalej - pracy i nie ustać, dopokąd nie zarobi tyle, żeby mógł powiedzieć: Patrzcie! i ja nie mniejszy od was, jak nie większy!.. Bo własną pracą doszedłem tego, co wam ojcowie zostawili! Śmiejcie się ze mnie teraz, wy bogacze!

Myśl ta nie przeszła tak, jak inne... Uderzyła go silnie w mózg, wrzący oburzeniem i powracała ~~ja~~ ciągle, ~~z dawna~~ ~~od~~ wypychając inne. Wreszcie zajęła go zupełnie.

- Pójdę! - myślał idący - Niech się, co chce, stanie!... Ja im pokażę - tym psom wściekłym! Choćby mi padło ~~ze~~ zdrowie zejść, ręce pozdzierać... to nie ustanę! Nigdy! Raczej śmierć, niżeli takie życie poniżane... Każdy cię kopnie, każdy się z ciebie wyśmieje - a ty biedna gnido, co poradzisz? Porwiesz się na nich - to cię stłamszą i śladu nawet nie zostanie... Biednyś ty Józku! biedny...

Oparł się na poręczy i żal mu się zrobiło ~~siebie~~ samego siebie.

- Takie życie - od czasu... Dzieckiem ~~był~~, jeszcze ~~to~~ ~~go pasterzł~~ przy bydle odpędzali, że był komornicym... ~~A jak skoro po dorósł, to~~ Codziennie był potykał, wyśmiewany, bity. ~~Teraz podrósł i~~ Myślał, że jak podrośnie, to mu będzie lepiej. Będzie robił, co zdoła, i na polu i w lesie, to ~~go będzie~~ przynajmniej choć jego pracę ludzie uszanują. ~~A~~ A teraz co? Dyć robi, nie próżnuje przecie... i za cóż oni mają go tak poniewierać?.. Za co? Nikomu na złość nie zrobił - Broń Boże! A że nieokrzesany

nigdy ludźmi — to i nie dziwota! W lesie ciągiem dzień po ~~po~~ dniu, przy drzewach i przy koniach — to kajby się czego nauczył... kany ż?.. ~~Szymek od Malarza~~ Dyć gorsi ludzie żyją za ~~niebo~~ ~~ów~~ ~~...~~ be! Szymek od Malarza ukradł Łukaszce zboże, a żyją z nim i mają go za co, że gazda... On ino, Józek, przeganiany zewsząd, jak pies nieprzynależący, co go żeną z każdej chałupy — i nikt się do niego przyznać nie chce... Mój Boże! taka dola...

Zadumał się Józek i ~~długo siedział na porzęsie~~, pogrążony w niewesołem rozmyślaniu nad swoją dolą. ~~Wreszcie powstał~~ i Ciemność wypełzła zewsząd i przymilała ~~mu~~ się pod nogi.

Powstał wreszcie i poszedł ~~nogą~~ koninkami w górę, ku chałupie...

Odżyły mu w pamięci wszystkie kary, jakie zapłacił za swoje bydło, które parobcy dworscy zajmowali na tej łące.

Regierung des Generalgouvernements
Hauptabteilung
Wissenschaft und Unterricht

Zl.Wiss.I B 716

An den Herrn
Leiter der Hauptgruppe Gewerbliche
Wirtschaft,Gruppe Handwerk
Abteilung Rohstoffbewirtschaftung

Krakau

Reichsstrasse 61/63

Ich übermittle ....An
bewirtschafteter Rohstoffe
Menge oder einen Teil davo

...Anlage(n)

Komornicy

R. V.

s. 70–87 wyd 26.

ments

che

ng

....Antrag/Anträge auf Zuteilung
stoffe und bitte, die beantragte
l davon zu bewilligen.

Im Auftrage.

V.

Późną nocą przyszedł Józek do chałupy. Spali już. Nie chciał ich budzić ~~ich~~.
~~Cichutko wszedł do iz~~ Otworzył drzwi do sieni i cicho wszedł do izby. Ale matka oczujnie śpi!

– Kto tam? Ty Józek? – ozwało się
– Ja matusiu!
– Czego tak późno?
– Późno to?
– Dyć się pytaj! już północka będzie, abo więcej...
– Chryste Panie! to żeś się długo zbawił..
– Dyć se powiedz!..
– Ha no, trudno!
– Kaześ był?
– ~~Dyć nigdzie~~ Nikany daleko... Ale pocóż wy matusiu wstajecie?
– Dyć przyrzn co! boś pewnie nie wieczerzał!..
– Nie, nie stójcie, leżcie! ja już pojadł!
– Kany? czego?
– Jutro wam powiem ~~matus~~ śpijmy!
– Czy ci się co stało, abo co? Mówże przecie!
– Coby mi się stało? Legnę już...

Ułożył się do spania. Matka czekała chwilę, czy nie ~~[illegible]~~ przepowie co do niej... Wreszcie poleciła Bogu i Aniołowi Stróżowi chałupę i dzieci i przytuliła głowę do pościeli. Nie długo i tak zdrzemnie, bo trza wstawać.

Na dzień się nawiesiło, kiedy zaświtała Kaganek i poczęła przystrajać drwa na ogień.

– Trza Józiowi ~~ugo~~ zwarzyć jakie śniadanie, bo ~~wie~~ wczorajsza wieczerza już pewnie wydrewniała... Trza mu też zwarzyć, chlipnie co i pudzie ta do lasa... Znowu na całutki dzień – Mocny Boże!

Rozpaliła ogień na nalepie i przystawiła wodę w garnku. Robiła cicho, bez hałasu.

– Ta jeszcze czas – niech leży... Bo się dość we dnie namitręży. Biedne chłoperzysko!

~~XI~~ Po dłuższej chwili, gdy już woda wrzała, Magdośka siedząc przy nalepie, poczęła śpiewać półgłosem „Godzinki”, którymi zwykle codzień budziła Józka. ~~Zaśpiewała część pierwszą~~ Przy pierwszej zwrotce zerwał się i biegł do konewki po wodę. Potem się obmywał, zmawiał co – i do lasa...

~~Dziś Józek~~ Myślała matka, że i dziś tak będzie
Zaśpiewały czyżyki pierwszą – Józek śpi... Zaśpiewała drugą – Józek śpi... Cóż to takiego?.. Czy nie chory przypadkiem?
Podeszła ku ~~wyrkowi~~ jego wyrkowi.

– Józiś!
– Co?
– Nie śpisz przecie?
– Ho! Odkąd ja nie śpię!
– To wstań, bo już czas będzie na ciebie... Teraz dzień krótki, wnet przeleci... Musisz co ześniadać, a potem przewdziać się. Wstań, wstań – moje dziecko...
– Matusiu!
– Co? czegóż chcesz? – zwróciła się ~~od pieca~~ ku niemu.
– Ja dziś do lasu nie pudę.
– Czy... czyś chory?
– Nie, ino... – usiadł na pościeli – Ja pudę do Pesztu!

Stała chwilę, uderzona tak niespodzianą odpowiedzią... do Pesztu!

– I... i jakże tam pudziesz?
– Tak, jak chodzą drudzy, prościutko – koleją...

Matka dopiero teraz przyszła do siebie.

– Co też ty mówisz dziecko.. do Pesztu? To nie ~~przefurgnąć~~ ~~tak~~ blisko ściegą przefurgnąć, jak ptak jaki.... A cobyś tam robił bez zimy?
– Ho! Tam roboty nie brak. Fabryk pełno... ino rąk brakuje. ~~Któż ci to dziecko na~~ Przy cegielni każdy może dostać pracę. I nie tak, jak tu: bo zapobiegą z papierka, abo i więcej...
~~Tato ma~~
– Któż ci to dziecko naopowiadał takie bałamuctwa?
– Mówili ci, co byli... a zresztą, ja ~~dawno~~ już nad tem niemało myślał...
– Rąk we świecie nie brak, moje dziecko. Narodu więcej, jak roboty...
– Ludzie mrą...
– I rodzą się! A rodzi się ich więcej... I u nas widzisz, co to ludzi, a zarobku mało... Czy myślisz, że tam inaczej bywa? Tak biedzi się, jak i tu.... Bogatszych może więcej, ~~jak~~ niż u nas, ale co to płaci?... Na takie miasto? Tam ścisk, narody ssają, zewsząd idą i wydzierają jeden drugiemu ten kawałek chleba...

– Ale tam łatwiej wyżyć, niż tu...
– Kto ma zdrowie!
– I ja mam, chwała Bogu..
– Aleś jeszcze słaby... Daleko ci do chłopa!
– A za chłopa robić muszę... nie pomoże! Co się nadźwigam, jak i w lesie, to chyba by się ~~ośm~~ z dziesięć razy złamał....
– Dyć się narobisz dziecko, bo się trza narobić... Aleś przecie w chałupie, to jakoś łatwiej... Widzi się, jakbyś powiedział, że wszystkim będzie gorzy...
– Coby! To się ino tak zdaje... ~~a jak fabryka mi~~ Nima się na co spuszczać, bo tu o zarobek trudno... Dobrze, pokiela budują fabrykę.. a jak fabryka stanie – to co będzie? Powiedzcie!
– Dyć bieda tak i tak bieda. Ale zawdy swoja bieda lepsza.. Bo jak przyjdzie, tak przyjdzie – to mam przynajmniej na czem legać... A u ludzi...
– Nie taki ta świat obcy! Nie wierzcie. Wszędy chwalą Pana Boga i ~~x~~ trafiają się: źli i dobrzy..
– ~~Ino~~ natrafić trudno...
– Zawdy przecie ja od nikogo łaski potrzebować nie będę. Żeby mi ino Bóg dał zdrowie...
– Matko Najświętsza!
– A jak też będę i robił, co zdołę, to mnie nikt za psa nie weźmie, bo za człeka!.. Tu robię tyle roków – a da mi kto poczciwe słowo, abo co: ~~i~~ uniósł się na wyrku.
– Mocny Boże!
– Ja przecie od nikogo za darmo nic nie wezmę.. nawet za dobre słowo podziękuję... A tu tych-ta nie ludzie – padam wam... Nikomu nie ustępuj-na oczy ani nie włeź, bo cię zjedzą! Abo ukażą tak, że ochota do życia odlatuje... Pany! W karendę wzięli ~~honor~~ świat od Pana Boga i nie dadzą się ująć nikomu, kto im się nie okupi... Oni mają honory, dostojności wszelkie.... reszta ~~ludzi~~ ma służyć przed nimi na pieńku.. La nich ~~tan~~ uciechy, tańce, zabawy i karczmy.... La komorników nic – prócz biedy i gnoja!..

— ~~Kan~~ Może cię kany ktoś napartuszy? powiedz!

— E, napartuszy!..

— Mówże przecie!

— Ja tu nie gadam o jednym razie, bo się to widać całe życie tak dzieje...

— Nie ostań pomiędzy nich!

— Dyć kaj pudę? ~~twoje~~ ~~ni~~ swojego świata ni mam, żebych po nim chodził...

— O dyć ni masz, nie, dziecko — nawet kawałka ni masz...

— To też dorobić się muszę!

— Mocny Boże! Dorobisz się ta!

— A dorobię! Jak ino zdrowie będzie...

— Choćbyś i miał zdrowie...

— Wola Boska! Ja pudę, kany świat szeroki i będę szukał pracy, pokiela nie najdę...

— Józuś! Józuś!

— Nie płaczcie. Ja się przecież wrócę... i z końca świata przyjdę, jak napiszecie po mnie...

— O dyć tak! mocny Boże! Łatwo to powiedzieć!

— Będziecie widzieć, że się wrócę...

— Świat ciemniaty + kto wie, co ci się może przytrafić...

— Wola Boska! Dyć i tu śmierć czeka ~~zostawiać~~ nie ominie... A mam się całe życie poniewierać, to wolę rok, dwa roki po między ludźmi przebyć i dorobić się tela, coby se żyć przystojnie... Mam ludziom z pod nóg ustępować, jak pies głodny, albo co! Żebych to czucia nimiał, toby mnie krzywda nie bolała. Ale i pies ma czucie, a człowiek ma i duszę!.. To go boli...

— O, boli! boli...

— To widzicie, że darmo, ostawać ni mogę... Ci z przeciwka bogacze zajedli się na nas i robią despet, kany się ino trafi. Stary Chyba wie dobrze, że nas nikt nie broni, że zaś nikt za nami nie ujmie... ~~[illegible]~~! Całe życie wymawia, że na jego siedzimy kamieńcu, na tych skałach przeklętych... Coby miał z nich? — powiedzcie! A nie wspomni se przecie, że nieboszczyk mój tata krwawo zarobił ten kamieniec! ~~Nie wspomni se~~... Nic wspomni se! Chciałby, żeby mu robić bez lato za darmo... a nie spyta się, czy mamy na zimę tyla strawy! Zdychajcie — pada — komorniki, żeby się inszym ~~mnie~~ ~~nie~~ dobrze działo...

— Dyć tak, mocny Boże!

— Takie życie, a nijakie — to jedność... Lepiej odrazu skręcić [illegible].
— Nie bluźnij!
— Wysługiwać się całe życie niewiedzieć komu, robić od rana do nocy bezustanku — i nie mieć za to co do gęby włożyć!.. Pójdę we świat — niech będzie, co chce. Jak zarobię, to przyjdę...
— Jezus! Jezus!
— Nie krzyczcie. Nic mi się nie stanie... Tam będzie się i od nas...

Wstał z wyrka, odziewał się i perswadował matce, żeby się nie trapiła. ✝

— Ale cóż ono ci tak przyszło na myśl? — spytała, gdyż tem wstrząśnięta ty- Nicoś nie gadał, jak i dawniej...
— Mówili mi chłopczyska u kościoła...
— Zbierają się?
— Dyć ich niemało pójdzie. Namawiali mnie, coby jutro.. jużci ja im ta nie przyobiecał, bom się na was obzierał, co powiecie...
— Co powiem? Mocny Boże...
— ~~[illegible]~~ Myślałech ~~o~~ nadtem idący od kościoła... ~~i tak zostało~~.

O Karczmie nie wspominał. Dla siebie schował obrazę. Czuł, żeby stracił upór, który mu dawał siłę, gdyby się wygadał.

— Będziecie widzieć przy krowie — myślał sobie — jak ja wam zaspokoję!..
— I tak myślicie już iść do tego świata? — spytała żałośnie po chwili.
— Pójdę mamo. Niech będzie, co chce!
— No dyć dobrze... — zwahała się — Pójdziesz na wolę Boską, to my się tu musimy bez ciebie obejść... Ale dyć pieniędzy ni ma nijakich... jakże będzie? Przecie o niczem nie pójdziesz w te światy. Trza na drogę...
— Jużci trza! — zadumał się Józek — Wiecie co matusiu? Przedajcie kozy!

Uląkł się jednak propozycji i patrzał na matkę nieśmiało. Nie wiedział nawet skąd mu ~~przy~~ ta myśl przyszła. Może temu, że nic nie było innego? Dwie kozy ~~te~~ stanowiły ~~cał~~ całutkie gospodarstwo. Żywiły ich przez lato.

— I tak na zimę musicie ich przedać, bo ni ma potrawy... — zauważył.
— Kozy przedać! — zamyśliła się matka. Stanęły jej na myśli długie ~~łatowe~~ tygodnie, bez mleka.
— Jużci darmo! Innego ni ma... Przedać trzeba, nic nie pomoże.

Choćby się żywiły ścierniskami ku zimie, to jak mrozy przyjdą i zaspy — czem ich chować?

Nieporadliwsz człeku, ino tak musi być, jak się Konieczności podoba.

– Kiej to jarmak? – spytała

– Jutro!

– Prawda – wtorek... Tobyś ty jutro środ?

– Juści-że tak. Będą czekać na mnie u Kościoła..

– Ha! Niech się dzieje wola Boska... Zosiu! wstawajże, bo już rano. Nie widzisz, kiedy to czas?

Zbudziła dziewczę, otarła łzy przyschłe na licu, westchnęła ciężko i poszła ~~na nalepie~~ rozpalić ogień, na nalepie ~~bo~~ wygasł doznaku. Zosia zeskoczyła z ławy, na której w kącie miała pościelone grochowe bedyle i umyła się z konewki.

– To już taki dzień! ratunecku!

– Dziwy się! Dziwy! – rzekła matka. ~~Ustroiła śniadanie~~ Nieradłuj ustroiła śniadanie i zasiedli wszystky troje, pożywając w milczeniu cenny dar boski.

Po śniadaniu poszło się każde pracy. ~~Józ~~ Zośka krowy pognała..

– Ino ~~ich~~ napaś! – wołała za nią matka. – Bo jutro nie będzies...

– Zaczego?

– Krowy pójdą na jarmak!

– Na ~~[illegible]~~ przedaj! – zasmuciła się Zosia.

Józek patyki wtłoczył na ogień i przystrajał, co mógł przez dzień cały. Małgorzka porządki robiła koło izby i popłakiwała cicho po kątach. ~~Tak~~ Powoli wlókł się ten dzień smutny, aż do robót ~~po~~ skończyli, ~~[illegible]~~ zanim noc nadeszła.

Na drugi dzień z rana jeszcze smutniej było w chałupie za wodą. Józek się zbierał, choć niedużo miał do zabrania: parę kurek, jajcienki i pół kwarty masła. Nieporo mu ~~[illegible]~~ było i dziwna bojaźń przed nieznanem ~~[illegible]~~ ściskała mu serce.

– Wola Boska! – powtarzał często, starając się zapanować nad sobą i niepokazać wzruszenia zapłakanej matce.

~~Tak mi się~~ Robiła ona, co mogła, przystroiła mu na drogę wszystko i krowy napasła świtaniem – ale ciężar ~~jakiś~~ wielki przygniótł jej serce i nieustępował.

– Widzi mi się i widzi, że krowy wymorzą... – mówiła smutnie, patrząc się czasami na Józka..

– Bajecie! – odpowiadał ~~[illegible]~~ z bojaźnią.

– Józuś! Józuś! –

– Nie krzyczcie... Dyć się prędce wrócę.

Zosia też pomagała matce płakać, choć nie wiedziała czemu. Jej się zdawało, że Józek pójdzie, jak mu odpust, i wróci niedługo. Dziwiło ją tylko, że się z takim sumatykiem wybiera. Może, że po pieniądze jedzie... ~~to się zmieni~~ – a zmieni się – myślała. Dziwiła się potem, że ją uściskał na ostatku i przeżegnał się w progu.

Matka wyganiała krowy z komórki, kiedy wpadł Wojtek.

– Na jarmark?
– Nie. Do Portu...
– Tak daleko?
– Nie blisko...

Wojtek się zastanowił i stanął na boku. Krowy wyszły, za nimi Józek z matką.

– Do Portu!.. – dumał Wojtek. Wyskoczył za Józkiem – ~~Józuś~~!..
– ~~Józuś~~ szepnął mu cicho – Przygotuj tam robotę, to przyjadę...
– Jedź ochałupie, kiedy ci dobrze – ~~rzekł Józek i popędził krowy~~.
– Aha! Juści! Dobrze!
– Coż ci jest?
– Z ojcem nie porady. Bije mnie...

Odprowadził ich na drogę i wrócił do Zośki.

Józek mówił niewiele, szedł obok matki i krowy popędzał na jarmark.

– Wiele dadzą, myślicie?
– Żeby choć dwanaście...
– Trza się targować...
– Dyć jak? Żeby nas Bóg kupcem opatrzył, bo inaczej...
– Żeby ino Kaboranów nie było!
– Też to! Gorsi, jak żydzi...
– Żyd ocyganić nie dryje, a Kaboran wyłgzi wszystko...
– Taki naród okpiszny!
– Choć to krześcijany...

Szli ~~Da.~~ nad Koniukami i ~~rozmawiali~~ rozmawiali o sprzedaży, to znów o ziemie zamiętej, na jakiej wszystko pokazuje. Ale rozmowa urywała się szybko, gdyż oboje myśleli o czem innem. Chwilami matka odwracała się, niby nos wypiąkać, i ocierała łzy ukradkiem. ~~Widział~~ ~~że i Józek~~ ~~i jemu~~ Przecie je dostrzegł Józek i starał się ocucić...

– Dyć już nie płaczcie.. mamo
– Tak mi się samo płacze...
– Przecie tam wiekował nie będę, ~~co~~
– ~~Wiem się~~ Nie wiem co, ale mnie się widzi, że cię już nie zobaczę...
– Nie bocie tak nie mówcie. Jeszcze się dość nacieszymy

ze sobą. Przyjdzie wiosna – to przyjdę, przyniosę pieniądze i będzie nam lepiej na tym świecie. Wierzcie mi!

– Mocny Boże! – westchnęła.

– Kupimy se kawałek pola, zasiejemy zbożem i pomału, pomału przyjdziemy przecie do jakiego gospodarstwa. Początek ino trudny, potem samo się nam będzie wiodło... Wierzcie mi!

– Dyć dałby Bóg...

– Tak mamo. Nie frasujcie się. Nic się nie frasujcie, – mówię... Na zimę to wam przyjadę, jak ino zarobię... Nie będziecie biedować, jak mi Bóg da zdrowie.

I począł roztaczać przed oczyma zbiedzonej matki barwne tęcze nadziei, i złotych planów na przyszłość. Nie rozweselił jej tem, ale uspokoił. Ludzie się przyłączali ku nim – szli razem ku kościołowi... na jarmark.

Na jarmarku ruch panował wielki. Na rynku ludzie stali gromadami, a gdzieniegdzie ich gwarny zalewały krzyki targujących, ryki cieląt i nawoływania przekupniów. Za wodą na kamieniu, gdzie miejsce dla bydła, jeszcze większy hałas panował. Kwiki prosiąt, przeraźliwe, jakby kto je ze skóry łupił, mieszały się z posępnym rykiem wołów i żałosnym beczeniem owiec. Istny sąd! Skargi, i lamenty zwierzęce, [illegible] jarmarczny wypełniały powietrze całe.

Tam wśród ścisku i zgiełku, drobiła Margośka z koszami. Józek został na rynku przy towarnych owcach.

Ze zgiełku powszechnego dobywają się wyrazy ludzkie, jak z potoku szumnego bełkoty ciche i częste. Swarzą się całe gromady, to dwóch przegadnie przy kupcie... Tu jakiś gazda zachwala drugiemu woły swoje, ten gani... Tam jeden, pod nogi pluje bratu swemu, który go rzekomo podkupił, i przeklina w głos cały: „Żeby się pod tobą ziemia rozstąpiła, a jak ty w tę jamę będziesz leciał – żeby cię jeszcze szlag trafił!" Najgłośniej odzywał się Kabaranin. Zaklinają się śmiało, i wciąż, sto razy przysięgną za prawdę, a dziesięć razy oszukają. Plemię, które od kilkudziesięciu lat żywi się handlem, – plemię chłopskie...

Stanęła Margośka przy prosiu, który trzymała na powrózku. Obskoczyli ją Kabaranie dokoła, Bożeszku, [illegible] Józka, – stracił się jej... Musi sama sprzedać.

– Wiele za to?

– Dyć piętnaście...

– Kpimy, czy co?!... – przeszli śmiać.

- Na sumienie mojego ojca dajęś siedem!..
- Ja półósma!
- Ja dam osiem!
- Ani centa!
- Żebych nogi połamał, jak dam więcej!

\#

Kłócili się przez kwadrans — wszystcy dla jednego. Ot, nalali kieliszki do wódki i zapłacili dziesiątkę [illegible].

- No, chwała Boga — szepnęła sobie, ciężkie w ręku... — Gotowi byli nic nie dać... Co za naród!

Obejrzała się z miłością na kozy, przeżegnała ich na ostatku — i poszła szukać Józka. Znalazła go. Stał pod ratuszem z parobkami. Wszyscy już byli gotowi do drogi.

- Przedaliście?
- Z wolą Boską...
- A za wiele?
- Nie żałuj Józuś, nie. Za dziesiątkę...
- Chwała Bogu.
- Już idziecie? — popatrzała na niego żałośnie.
- Dyć ino na mnie czekają...
- Poczekajże... Sięgnęła ręką do zanadrza, wyjęła gałganek, rozwinęła i poczęła liczyć. — Jeden, dwa, trzy... masz całutkie dziesięć. Naści-że!
- Jeden se zostawcie... — szepnął Józek, odwracając się.
- Na co?
- Przyda się choć na sól.
- Schowaj!, my się tam obejdziemy. Prędzej ci tobie przyda...
- To wam przyślę!..
- Proś Boga naprzód o zdrowie, nie frasuj się o nas. Wyżyjem jako...
- No, idziemy! — ozwało się parę.
- Mój Józuś! Jeszcze ci też zapominała pedzieć, że ci też nie wdaj z tyle koni, patrz roboty, a zdrowie se też szanuj, bydź po [illegible]....
- No, no, dobrze!
- A pisz nam też tu, jako ci się tam będzie powodzić...
- Ostańcie z Bogiem!... — szepnął, całując ją w rękę.
- Józuś! Józuś! — załkała głośno. Ujęła głowę jego pochyloną w obie dłonie, a łzy ciurkiem opadały na włosy...
- Niech cię Pan Bóg ma w swojej opiece... Matka Najświętsza...

Nie mogła słowa dalej wypowiedzieć. Ucałowała mokre włosy i przeżegnała krzyżem świętym.

- Bo już czas! — zawołali. Józek się ścisnął z nimi i wyszli gromadą na kolej. Z dala obejrzał się na matkę i rękawem otarł łzawe oczy. Moc Boska! — szepnął sobie, idąc za drugiemi.

Małgośka, ~~patrząc się za Józkiem~~, stała długo i patrząc za Józkiem gdy zza leśnej Tołtuszy, która była zasłoną, a ty, jak groch okrzyły, otaczały się po dłoni w ziemię. Potrząsła ją zadie. Ocknęła się machinalnie i patrzała w tę stronę, gdzie Józek poszedł do świata...

Wreszcie polecił go myślą Bogu i poszła płacząc do chałupy...

Zosia wyleciała naprzeciwko niej ku drodze.

– Mamo! kaj są kozy?
– Przedane.
– A Józuś?
– Józuś... – Nie mogła mówić, dławiły ją łzy. – Pojechał, moje dziecko...
– Ale wróci wnet?
– Wróci.
– Żal wam tych kóz, mamusiu? – spytała widząc łzy w oczach.
– Pódź, pódź, dziecko. Nie gadaj...

Przyszły do chałupy. Matka usiadła na ławie i nawet się jej zdjąć łachów nie chciało.

– Jak tu pusto w tej izbie! – szepnęła...
– Nie żałujcie mamusiu – przyjdzie jarmak, to kupiemy drugie i będzie...
– Moje dziecko!... – przycisnęła ją ku sobie. – Moje dziecko!

Płakała nad nią długi czas, a Zosia pocieszała ją, jak mogła.

. . . .

Szła zima mroźna – zima bez nadziei dla biednych komorników. Co kto miał, to zwiózł z pola i schował głęboko, + komornicy nic nie mieli do schowania. Bóg dobry, Matka Boska – to ich nie opuści!...

Opustoszały pola i straszną dziką pustką zdaje się, że świat cały jest jednym ugorem... Rzadkie, zielone płaty ozimin zdają się być zasiewem przyszłym [illegible], co się dopiero wiosną obudzi... Martwica schodzi już na ziemię i w szkielety zamienia ~~łodygi~~ szczątki roślin. Do słońca bielą się suche ściernie i szarzeją zeschłe, gołe, ściernie ziemniaczyska. Pustka i pustka dookoła.

Szalone wichry gonią się po ugorach, wieszają po [illegible]. Nadaremno!...

Słońce ostygło, niedogrzewa – ziemia lodowacieje, mróz... Przylatują z wiatrem płatki śniegu, bielutkie, jak puch...

Pewnie tam w niebie rozsypują pierze i leci... leci na ~~świat~~ ziemię. Żeby to manna dziś leciała! – Mój Boże! – myśli biedzi – Pan Bóg łaskawszy był dawniej na ludzi... nie manny! V

Regierung des Generalgouvernements
Hauptabteilung
Wissenschaft und Unterricht

Zl.Wiss.I B 716

An den Herrn
Leiter der Hauptgruppe Gewerbliche
Wirtschaft,Gruppe Handwerk
Abteilung Rohstoffbewirtschaftung
K r a k a u
Reichsstrasse 61/63

Ich übermittle ....An
bewirtschafteter Rohstoffe
Menge oder einen Teil davo

...Anlage(n)

Komornicy

R. VI.

S. 88-96 wyt 26

ments

.che

ng

....Antrag/Anträge auf Zuteilung
stoffe und bitte, die beantragte
l davon zu bewilligen.

Im Auftrage.

VI.

Dziwnie mieszkają, jak i ci Łatkowie... Chałupinę mają na brzegu, niedużą, starą. Gonty z dachu powylatywały, oparcia nie mógłby woły wnieść rogate... A oni w tracie deski rżną, dzień po dniu – Moglibyście chałupę pokryć...

– Nie pilno! Niech ta stoi na wolę boskie. – odpowiadają ludziom.

W zimie pokryje śnieg, a w lecie nie ma czasu – i tak schodzi...

– Kto ostanie w chałupie, to ta niech stawia... – myśli sobie każdy ~~z osobna~~ po cichu – Jaby się ta dokładał! To nie moje.

I zarabiają w lesie, a chałupa stoi „do wóli boskiej”, póki stoi. W oknach mo dziś szyby całe, reszta deszczułkami zabita. Zamiłowali się nad niemi Jantek ~~Romek~~ i porabijali, bo dziurę mu ~~[illegible]~~ zatykali, tak, że w jedną niedzielę nie było już co obić. Taka bieda!

Myślałby kto, że wewnątrz... Pajęczyny! Z powały wiszą z roku na rok sadze; pająki mają o co zaczepiać postawy... Ze sprzętem niech się usuwa; temu to muchy mają codzień świeże powietrze. Koło ściany idą ławy, z grubsza ociosane, a pod ławami grzybów pełno: czy zima, czy lato. Podłoga z ubitej gliny zawdy mokra, bo z kamienic. cieknie. Na polepie dyć trudno, tera się stermieć na oślizgłe wzgórze; za to ~~[illegible]~~ daleko Łatkowej – samo jedzie. Piec, oblepiony czarną gliną, rozpada się powoli. Już się dość nastał w jednym kącie. W przeciwnym rogu stoi kołyska, ~~do Koszarów przestrzenne jak korar~~, jedyny przedmiot rodzinny, który ich łączy...! Kolebka trzech pokoleń! Obszerne jak korar, chwiejące się na wszystkie strony. Z boku kołkami zbite, popodpierane stołkami ze spodu – może jeszcze długo służyć czwartemu pokoleniu. Ojej!

Wzbie, prócz Łatków i Komornicy chowa się jeszcze drugie pary Królików, potłoczy kur i cielę – Tyle narodu. Cielę z królikami żyje zgodnie, choć mu siano z cebryka wykradają; za to ludzie ~~się~~ swarzą się codzień. Matka chciałaby „dzieci” krótko trzymać a one starają się wmówić jej, że już wyrosły. ~~[illegible]~~ Stąd ~~[illegible]~~ piekiełko w chałupie.

– Jam wam gadam – powtarzała codzień z rana – że pobiela mnie ta święta ziemia nowi, niechaj słyszę o żadnej synowej! Rozumiecie?!

– To nas chowajcie na pośmiewisko ludzkie – mruczał Romek,

– Ja ci powiem, ty siwku!.. Co ~~wam~~ się dzieje? Nie masz co żryć?

– Gdy zżyjcie! – klął Jantek.

Cit! mon mer moje słowo!!

Milkli wtedy i rzeden nieodmarkowat. ~~A~~ Zabijała ich cudzoziemską ~~wyswary~~ gwarą. ~~A~~ Mało to babiej umiało sobie radzić z trzema chłopami. ~~W najczystszej mowie odbrania~~ Jak wszystko złość jej było, tym dziwniejsze najdłuższe wyrazy. I musieli jej słuchać, a jak nie, to...

– Rekrom kierdaj!! Do roboty!

Tupnęła nogą na środku izby, jak trusia na odmianę i wtedy ~~odłażą~~ milczkiem ~~wypuścili~~ ~~pomykał~~ jeden za drugim pomykał do pola.

Najprzej miała kłopotu z Romkiem, potem z Jankiem, najmniejszy z Michałkiem

– Miłałek, dziecko mamine – ~~mówiła~~ mawiała – nie prze się do żenby...

Ludzie zaś mówili, że z ~~powodu~~ skroś Michałka przy wyjeździe dziewka z krzykiem od Łatów odeszła. Choć Łatowa nie dała nic powiedzieć na swoje dziecko. Któż wie, czyja prawda? Może i jej bo została starsza dlatego odeszła, że nie miała gdzie legać.

– Widzisz Wiktuś – mówiła jej Łatowa – jakby cię chętnie ~~na~~ i na zimę ostawiła, ale kajże będziesz spać?

– Choćkany!

– Dobrze, pościelać było ciepło, ~~tośmy się ta~~ Wlulitaś się do szopy ~~w barłożku~~ aby kany i było. Ale ~~ta~~ w zimie trudno się mamy wszystkiej gnieść na kupie... dyć powiedz! Na ziemi w izbie ~~na~~, dyć dobrze, ale jak czelęt Pan Bóg nagodzi – jakie będzie?.. Niepurada, nie – Wiktuś...

Wikta też, niewiele myśląc, pozbierała swoje łachy i poszła.

– Ubyło jednej gęby na zimę.. chwała Bogu! – pomyślała ~~B~~ Łatowa i poczęła medytować, jakby się pozbyć Jagnieszki, ~~bo~~ jej strachem nie odzienie, bo ta się zimna nie lęka, ani mrozu. Co tu począć?.. ~~myśli~~ na zimę trzymać jej nie ma po co, bo nie ma i roboty... Zepchnąć ta w lecie kielo tele, ~~..~~ ale kto to płaci?.. tego nie mać, ani nic..!

Myśli.. myśli – naresznie wymyśliła.

– Do rozumu gadać jej ni ma co, bo tego nie rozumie, co ja chcę jej rzec.. Darmo! Trza jej do serca przemówić, to uwierzy... Serce ma dobre i poczciwe... Strasznie dobre kobiecisko z tej Jagnieszki! Żal mi jej żeł... doprawdy!

I pewnego dnia, kiedy się chłopi zabrali do lasu, powiedziała jej otwarcie:

– Musisz se Jagnieszko poszukać komory, bo nam też będzie ciasno..
– Spodziewacie się kogo?
– Boże zachowaj! – odrzekła Łatkowa – Ale widzisz izba mała a krzątaniny dużo... Jak się porozchodzą wszyscy, to się trudno obrócić... sama widzisz! Teraz przyszła zastępa, bo się ich będzie pomieścić do izby kiedyż tej podziejemy wszystkich... uważ se!

Jagnieszka pomyślała, że tyle przez całe lato było przestronno – naraz się robi ciasno.

– Ja wam najmniej zajmuję tego miejsca... – ośmieliła się wyrzec.
– Boże uchowaj, żebym ci to gadała... Widzisz sama, jak się skurczam...
– No wiem!..
– Ale gawiedzi przybywa coraz więcej, bo na zimę to się wszystko pcha do izby... Trusie, kury, prosięta, dwoje koźląt i cielę, no i nas pięcioro... Patrz, kiela to narodu!.. Zważ se sama...
– To nie gospodyni wyganiacie doznaku?
– Nie wyganiam – broń Boże! Ażebym zciekawiła. Dyć-by mie Pan Bóg skarał, Matka Najświętsza... Jno ci mówię zawczasu, żebyś se komory poszukała, bo nam ciasno... Nam będzie lepiej i tobie.
– Mocny Boże!
– Tak widzisz Jagnieś: żeby ja była sama, tobyś do śmierci mogła siedzieć, nikt by cię nie ruszył...
– Mocny Boże!
– Nie labiedź, bo nie masz o co. Kiela to chałup, co mają przestronno! U Gęsiora, u Sołtki, w Drapie... wszędy cię przyjmą, boś robotna.
– Na lato, ale na zimę wyżeną...
– Nie bój, nie, Jagnieś. Coby cię wyganiali! Masz ty rozum?
– Już tema, że rozumu ni mam – tak się mi dzieje...
– Dyć mnie żal, bo żal nie puściłabym cię za żadne pieniądze. Ale trudno. Nie my, jno wola Boska wszystkiem rządzi...
Tak Jagnieś! Tak! Nie desperuj, jno się bierz pomału, póki widno. Dźwigać ni masz co. Jantkowi każ, to ci odniesie ziemniaki i będzie..

Jagnieszka podniosła chustę, szepnęła parę razy: „Mocny Boże!" – i cóż miała robić? Nie chcą jej, to wyjdzie, ano. Trza szukać schroniska... Może najdzie! Bóg łaskaw... zawdy... przecie...

Pozbierała swoje łachy, związała do tobołka ~~tuż~~ i obłapiła Łatową niziutko za nogi.

– Moja gospodyni! Niechże wam też Pan Bóg nie opuści za to, coście mnie tak długo mieli...

– Nie schylaj się, nie!

– Ostańcie z Bogiem!

– Z Panem Bogiem idź Jagusiu! A chowaj się i krzep jako, to może Bóg da na wiosnę, że cię przyjmę...

– Bóg wam zapłać stokrotnie! żeście tacy...

Wzięła zawiniątko na plecy i poszła drogą na dół ku wodzie. ~~Wcale~~ Jakoś jej żal nie było, ani smutno... Ile to razy odchodziła tak, w gorszym czasie!

– Zawdy tak bywało i będzie... do skończenia świata! – pocieszała się, ~~[illegible]~~ wciąż gdy ~~b~~ jej bieda dokuczała ~~mocno~~.

Przez lato wszędy miała miejsce; a najbardziej więksi gazdowie radzi ją widzieli. Robotna była, że hej! Ino ta zima nieszczęsna, ta zima! – myślała wciąż – ~~nikt jej nie weźmie, nie przygarnie~~ Czemu to człek gadziną się nie urodził! Uwiesiłby się każdy i przespał do wiosny. Nie kłopotał by se głowy... Mój Boże!

Na zimę przędzej znalazła schronisko u chałupników niż u gazdy. Wiedziała o tem ~~dobrze~~ oddawna i teraz myślała o tem, stojąc przy kładce.

– Kajby iść? – myśli sobie. ~~Do Chybów nie warto~~, i rozważa długo. Do Chybów nie ma poco, do Malarza również. Do Koziełów by poszła ale to baba mruk... niech Bóg broni! Juści, że do Margośki będzie najsporzejniej... Jedna bieda drugą biedę zawdy rada widzi.

Sprawdziło się, bo Margośka przywitała ją radośnie na samym wstępie:

– Chyba cię Jagusiu Bóg przyprowadził do mnie, żeś przyszła...

– Czyście chorzy?

– Nie chora. Ino mi tęż (~~[illegible]~~ [illegible]) cnie...

– Skroś czego?

– Skroś tego, że Józka ni ma...

– Eha! Bo ~~anton~~ on to do Pesztu poszedł... moiściewy!

– Juści poszedł w tamten jarmak i nie pisze, nie wiem, co takiego...

– E pewnie ni ma co pisać.

– Czy ja wiem! moja kochana... siądźże, rozedziej się. O, jak to dobrze, żeś przyszła. Pobędziesz u nas choć ze dwa dni...

– Dyć, mościewy, ni ma tu kaj być...
– Wygnali cię Szymkowie?
– ~~Ja~~ Ja nie wiem, jak wam pedzieć... Oni nie ta obcego nie wygnali.
Ale i ciasno...
– U nas się zmieścisz, choć izdebka niedu(ż)a. Siadaj!...

Podała jej garnek z nalepy.

– Zajem co...
– Nie szukajcie!
– Dyć co Bóg nagodził... Weź-że tylko! Ta nie omaszczone nie, ale trudno... Kozy się przedało na tamten jarmak.
– E za kielo?
– Za dwiesta! Sprawię Józkowi na drogę.
– Mościewy! Tak to tak.
– Jedz-że!
– ~~Ja~~ Jem, nie raczcie... Zosia kany?
– Dyć nie wiem kany ~~poszła~~. Cnie się jej wsie bez kóz, to nie usiedzi w chałupie, ino lata po świętych dziach... Na trzecim wyjeżdża ~~ciężarna~~ przykładne, to Bóg we mnie co nie jej ja gadam, żeby posiedziała przy mnie!.. Obleczyłam jej żadną mszę – takie uparte.
– Nie poradzicie, darmo! Dziecisko, jak dziecisko, nikomu mojego nie zagrzeje.
– Pokiela Bóg daje zdrowie...
– Tak to tak.
– E jedz-że!
– Już nie będę.
– O jakaś ty!
– Nie raczcie, bo nie będę.

Obłapiła matkę, Markowikę, ~~Postawiła garnek na nalepie~~, otarła ciężko twarz brudnej fartuchem ~~...~~, wodziła oczyma za ~~Markowiką~~, skrzątającą się koło nalepy. Chciała coś powiedzieć – nie śmiała, czy też nie wiedziała jak, z czego zacząć. Wreszcie, po długiem wahaniu gdy się Margośka zbliżyła ku niej, zesunęła się nagle ze stołka i objęła ją za kolana.

– Jaguś! – odsunęła się zdziwiona Margośka – cóż ty robisz? Dyć nie płacz, ino powiedz o co ci idzie...
– Mo.. moja gosposiu – prosiła z płaczem Jagusienka – żeby też chciała, żebyście chcieli...
– Mówże śmiało!
– Że mi was żal tak napastować.
– Nie bójże się!
– Żeby też chciała na zimę ostać u was...
– Czemuż nie? Ostaniesz.
– Mościewy!..
– Nie schylajże się...
– Niech wam Bóg nadgrodzi.

Długo jeszcze Nowakowa siedziała pod oknem na ławie, a Ty jej ~~ciotka~~ kapoty na spódnicę.

Regierung des Generalgouvernements
Hauptabteilung
Wissenschaft und Unterricht

Zl.Wiss.I B 716

An den Herrn

Leiter der Hauptgruppe Gewerbliche
Wirtschaft, Gruppe Handwerk
Abteilung Rohstoffbewirtschaftung

Krakau

Reichsstrasse 61/63

Ich übermittle ....An
bewirtschafteter Rohstoffe
Menge oder einen Teil davo

...Anlage(n)

Komornicy

Q. VII.

na s. 33 zapiski

na s. 33v brulion listu

s. 97 – 188 wyd. zb.

Regierung des Generalgouvernements
Hauptabteilung
Wissenschaft und Unterricht

Zl.Wiss.I B 716

An den Herrn

Leiter der Hauptgruppe Gewerbliche
Wirtschaft, Gruppe Handwerk
Abteilung Rohstoffbewirtschaftung

K r a k a u

Reichsstrasse 61/63

Ich übermittle ....An
bewirtschafteter Rohstoff
Menge oder einen Teil dav

...Anlage(n)

VII.

Było im dobrze razem. Jedna drugiej nadskakiwała, gdy bieda jaka przyszła i chwilami zdawało się im, że przecie życie nie jest takie złe dziadostwo, jak powiadają. Ziemniaki miały ~~dzięki~~ Bogu, dzięki Bogu, a że ~~owsy~~ jałowe, to trudno. Nie wszystko naraz Pan Bóg daje, boby się człowiek zwydził. ~~Zdałoby się może~~ Zdałoby się mu, że Pan Jezus musi dbać o niego i przestałby się modlić. Tak bywa. Lepiej pomału, a zawdy. ~~Zamiast się najdzie~~

– I owsa się najdzie, jak się Panu Bogu będzie podobać... ~~Nie nasza~~, mówiła Jagnienka – Nie nasza, ino Jego święta wola niech się dzieje...

– Ino o to gra, że roboty nima nijakie – skarżyła się Margośka. – ~~Tamtej~~ ~~zim~~ Przeszłej zimy kądzieli nanieśli...

– Nie frasujcie się gosposiu, bo się najdzie...

– Mocny Boże! Poradzim to z ludźmi jegomość...

– Popróbuję...

– Szkoda zachodu, ~~po próżnemu~~...

– O, dyć ino! Będziemy widzieć, co Bóg da... W drapie zebrały lnu nie mało, nie oprzędą same więcej sposobem. Na Dolinie co roku dają przęść z chałupy.. To ja zajrzę.

– No dyć idź! Ale po wszystkim, żebyś co przyniosła...

– O dy ~~przyniosę~~...

Poszła Jagnienka ~~za lnem~~ po wsi za lnem, a zbliżając się do chałupy, nuciła ~~cicho~~ sobie cicho:

„W Twojem ręku Wszechmogący oczekiwania mego losy,
Który spuszczasz ~~[illegible]~~ deszcz i rosy!..."

I nie zawiodła się na bożej opiece. Nazdawały jej kobiety sporo przędziwa, że unieść nie mogła na naręczu. Nie rozpowiadała jednak, że z Margośką będzie przęść do spółki, bo by jej lnu nie dały. Margośce trzeba płacić gotowizną – wiedziały dobrze... Jagnienka zaś przyświadczała kobiecie, że i uprzędzie i bez zapłaty, jak zawdy. Co kto woli? One wolały nie płacić.

Ucieszyła się Margośka wielce, gdy Jagnienka wytoczyła z płachty duże duże kitki.

– Te cienkie, a te grubsze... te znowu pacześne.

– Ho! ho! Chwała Bogu. Będzie dość przędziwa.

– No widzicie...

Pozwlekały przęślice za łóżkiem, pomacały lniane garstki i przędziwo gotowe. ~~Zosia~~

– A mnie przęślicę.. mamo! – ~~poprosiła~~ upierała się Zosia.

– Ty posiedź. Masz co robić w izbie..

– Kiej ja nie chcę. Ja wolę prząść!

– ~~[illegible]~~ Przyjdzie czas, że i prząść będziesz...

– Kto wie, kiedy! – turbowała się Zosia.

Mając jednak nadzieję, że to wnet nastąpi, nie wybiegała na [illegible] do wątrzy, tylko sprzątała w izbie ze matką i pomagała jej z wszelką prośbą. Gdy wrzeciono wypadło której przędze z ręki, chwytała je w lot i podawała, kręcąc w drobnych paluszkach, jakby chciała rzec: „Widzicie, i ja potrafię obracać!..” ~~Nie rozumiała~~ tego widzi matki. Cóż, matka tego widać nie rozumiała, ~~nawet raz~~ nie zwracała na ~~nią~~ żadnej uwagi, ~~nawet raz nawet~~ głaskała jej głowę, ale ~~się uśmiechała~~ rozmowy z Jagusieńką nie przerywała. Mówiły zaś ~~po~~ w całe przydługie bez ustanku. Miały sobie co opowiadać, wracając pamięcią do lat pastuszych i dalej jeszcze, do kołyski w chałupie ojców.

- Tak, widzisz Jagusiu, ostawili mnie sierotą zawczasu. Nie było mnie komu wykarmić, ani chować...
- A z gruntem co?
- Nie było wiela. I to przeszło w cudze ręce...
- Mocny Boże!
- Zabrał taki, co najmniej prawa miał do tego...
- A z wami co?
- Ja się chowała sama. Bóg mnie chował. Dziwię się, żem z głodu nie usnęła na wieki... Tak, tak Jagusiu. Skorom ci już ~~podrosła~~ od ziemi, to i to nalezli się ludzie, co mnie wzięli, niby za swoją, bom już paść zdołała...
- ~~Biedna bieda~~ Nowiście!
- Pasałam ci ja owce na pustaci bez siedem roków, ~~Zabaczyli~~ jedni, nie mi ta nie zawdy przyprawili. Zabaczyli od czasu, toć nie jadła... Ale głodu było dość po kości...
- Chwała Bogu!
- Nazbierałam se nieraz pełniutki podołek...
- Widzicie, jak to Pan Bóg i o ~~najsłabszym~~ najmniejszym chrobaczku pamięta...
- Oj ~~pamięta~~ Jagusiu, pamięta. ~~Ś~~ Ludzie nieraz opuszczą, świat zawiedzie...
- Oj zawiedzie, gospodyni, zawiedzie...
- Dyć mi dobrze było. ~~N~~ nie powiem... bo mnie zawdy radzi widzieli, że [illegible]! Musiałach się narobić, to prawda, ale dyć nikt spoczynku ni ma...
- Oj ni ma
- Chcieli mnie trzymać do śmierci...
- Ehy!
- Niech, jako i biedna u nas i będzie, nie trzeba się padali oni... alech w te czasy pomarła [illegible], jak i mojego nieboszczyka, co u chłopa [illegible]... Jużci! ~~Ś~~ skończyło się wszystko - i poszłach...
- Na tę biedę niczegusieńko...
- Na tę biedę ~~Zadumały się obie i przędły jakiś czas w milczeniu~~

W powale gdzieś mucha brzęczała ~~sennie~~ sennym głosem, albo wrzeciono zafurczało w powietrzu...

— Dyć i ze mną tak, moiściewy — mówi Jagnieszka — Nie bieda mnie z chałupy wygnała, bo ludzie źli, niedobrzy... Miałach ci ja ojców z Gorców, dyć wiecie...

— Cobych nie wiedziała!

— Macocha była zajadliwa okrutnie... Bijała mnie raz na dzień i więcej. Oj bijała!.. Ociec nieboszczyk nie wiedzieli o tem, abo nie chcieli wiedzieć, kto ich ta wie... Dość, żech przeszła nie jedną mękę pańską na tym biednym świecie, już zawczasu...

— Biedna bieda!

— Skorech ci już podrosła, jużci nie poruda było wysiedzieć w chałupie. Poszłach na służbę. Służyłach za lasem u gdowca, co miał dziesięć morgów pola. Byłach u niego całutkie pięć roków. On też widział, moi kochani, żech robotna i nie ciągnę se pracy, chciał się ożenić ze mną...

— No i jakie?

— Dyć wam powiem. Ożeniłby się był na pewno, ni ma co gadać. Ale miał spłacić stawek niewielgi, toż to chciał ze mną choć ze trzy dziesięci reńskich. Ja do chałupy, pytam ojca: „Dajcie mi tatusiu trzy dziesięci reńskich, to się wam usunę..." Ale cobyś poradził! Macocha odparła zapobiegła, ociec też godział wyraźnie, że się na mnie [illegible] będzie... Cóż było robić? Służyłach jeszcze po ni długi czas. Tatuś był chory, nie godzili mi nawet, nie poszłach. Przy testamencie zabaczyli se o mnie doznaku. Myśleli, że mnie nie było na świecie, czy co... Przyrodnim pozostawili wszystko, mnie ino zagon na ziemniaki — i to jeszcze na prośby chrzestnego ojca. (Niech mu ta Bóg da zdrowie, bo już nie żyje)

— Hm, hm...

— Tak, moi kochani. Skoro ojciec pomarł, to i zagon przepadł, ot...

— Mogłaś nie dać!..

— E prawujże się ta z nimi!.. Dam to rady? Ja jedna, ociych tylo... nie poradę, nie, moiściewy...

— A prawo za?

— Nie jedno prawo na świecie, moi drodzy, nie jedno... Insze la bied, drugie — la bogaczów znosze...

— Coby zaś!

— Dyć spróbujcie i wy prawować się z Chłopem, a zobaczycie, kto wygra...

— Pewnie, że on.

— To widzicie. Na ziemi ni ma la nas sądu sprawiedliwego...

— Mocny Boże!

— Ja też ino tylo się zemszczę na nich, że spomstuję, zwyczytam, co ino wlezie... niechże mają! Ale mnie też i było się tyle o [illegible] tu mnie boli, jak se wspomnę na to...

— Dyć wierzę!..

Opowiadały sobie dalej stare koleje życia aż po dzieciństwo i zbolałe wspominały dawne różnych kłopotów: „jaki to świat [był ta niegdyś] niewdzięczny, jako ich ludzie mniej rozumieją... a czas migiem leciał przy kądzieli. Dopiero było rano — już wieczór! I tak codzień zmniejszały się godziny na zimie... Słonka nie długo widać coraz krócej... Zato mocy [w innych krajach] świeci — wysłały sobie...

— Tam, kaj mój Józio... — dodawała Margośka — Nie widzi listu!...

— Może przyjdzie, abo przyśle co pieniędzy... — pocieszała Jagusia.

— E, po swojemu!... Żeby choć doniósł co o sobie...

— On ta doniesie, nie frasujcie się... Ino wiele ni ma kogo, coby mu napisał...

— Tam są nasi...

— Któż wie kaj! Dopiero prosi, kłaniaj się. Najlepiej, żebyś umiała sama...

— Bieda i nie umieć, wielga bieda!.. Ale szkół nie było dawniej... Któż nauczył?

— Dyć teraz o to! mościwy,... bieda ciężka.

Labiedziły nad sobą i światem całym... Zawdy miały o czem gadać. Tematów nie brakło. Było im tak źle razem bo wieczory długie, dojmujące nadlatywały same. Opowiadały gwarą, przędły i polecały Bogu wszystko co na świecie. Zorza świecąca uciekała w ściankach, i nieraz przesiedziały razem do północka, albo i dłużej...

W jeden wieczór niespodziewanie przyszła Sypniowa w chybie. Margośka się wystraszyła, zobaczywszy ją w progu.

— Idzie Herbert z kądzielą! — zawołała — będzie nam weselej!...

— Dyć idę z, bo niepogoda jedne wsi upiorze...

— Cóż się tam dzieje?

— Brewerje powiadam wam, że ani... ani słyszeć nie chcę.

— Siądźcie na ławce! — podała jej przęślicę. — Czyż się co stało, czyca, żeś taka nie swoja...

— To nie nie wiecie?

— Nie wiemy. Dyć się nie ruszamy nika z chałupy...

— O cny wesołek! Cała wieś gada o tem...

— O czem?! — spytały obie naraz, wstrzymawszy wrzeciona.

— Dziandary łobke wzięli...

— Ratunecku!! E za co?

— Poszli dziś, jak wieczerzali poszli go ze sobą do aresztu...

— Cóż on takiego zbroił?! krzyczały obie!

— Ho! co zbroił... pytajcie się! E zabił chłopa na Skalistkach.

Słuchającym oddech się zatrzymał.

— Zbój taki, że i szkoda aresztu na niego. Powiesić by go, to się upamięta...

— Co ja słyszę! co ja słyszę! — szeptała Margośka.

– Niech was Bóg broni, jaki to obrzydło był zawzięty... Co je ~~[illegible]~~ od niego wycierpiała!..
– Ale nic nie wiem, jak się to stało, abo co?
– Cobym nie wiedziała! Pili razem w karczmie z Tomkiem ze Skalistnego(?), z tym właśnie, co to po niebogę, zięciem Tekli...
– Dyć-ci znała... Wieczne odpoczywanie!.. ~~[illegible]~~
– Pili razem i pili, jaże się zmroczyło...
– Kiedyż to było?
– Dy przedwczoraj, kiej to taki wiater był straszny...
– ~~[illegible]~~! Z poniedziałku na wtorek.
– No i wtedy przy bitce(?) jeden drugiemu cosik przedał, bo nie wiem, kto zaczął, bo Żyd mówi ~~[illegible]~~ tak, a chłopy znowu inaczej. Trudno wymiarkować. Dość, że się wtedy pokłócili wszelkie. Oni by się byli ~~[illegible]~~ (w karczmie) bili, żeby ich chłopy o zgodę ~~zawezwali~~... Z tego przykrom Łobek poszedł pojić i pić, wreszcie Żyd mu nie chciał dać okowity. Tożto on na Żyda. Żyd uciekł do alkierza i zamknął się na skobel. Ze złości Łobek zrobił szyby, flas i potłukł wszystko szkło na drobne kawałeczki...
– Co to za dzieje wściekłe(?)!
– Dyć powiedzicie!... Wreszcie ni miał już co robić i poszedł. ~~[illegible]~~ A na małą chwilę przed nim wyszedł Tomek...
– I tak się zeszli!
– Nie wiedzieć jak to było. Bo Łobek powiada, że spotkał idący Tomka i ~~[illegible] go~~ wsunął mu parę piąchi, nic więcej...
– Czyści trza było!
– A insi znowu mówią, że go młócił, potem, pobiciu zdołał, ~~[illegible]~~ Co zemglał, ~~[illegible]~~ przedpołudniem(?) – to go kamieniem(?) wrzucił i tłukł, pokiśle nie dobił...
– Prędzej, że tak..
– Nic my w chałupie nie wiedzieli. Jaże dziś dopiero sam się wygadał. Ale on nie wiedział czy żyje, abo co, dopiero dziś dziewczyny przyjęli(?), że umarł...
– Będzie on miał za swoje!
– Ba! człeka zabić, to przecie nie co drugiego...
– A cóż stary? ~~[illegible]~~
– Z wściekł się ~~już od rana~~, nie wiedzi na kogo... Sam wychował takiego zbója, to ma teraz...
– ~~Dyć~~ Odczerm nie mówili dobrego Łobkowi. ~~Ale~~ odczerm ociec winien, bo przecie, jako on go uczył od mała?.. ~~Jak go na organistówny do~~ Jak ciężko napaście... pada – ~~to~~ weź kamienia i wal w łeb!..
– Nie poszła w las nauka...
– Dy widzicie!...

— Skądże ta takiego sumienia wzięło, moiściewy! — mówiła Jagustynka. Ciołek przecie nie bydlę, ani co, żeby się tak pastwić...

— Skądże to taka straszna zawziętka?

— Pytajcie się! — odrzekła [illegible].

— Dyć trudno mieć tak bez powodu...

— Wiem, że na dnie z tego bebechy powód siedzi...

— Może i to być!...

— Nie gadam, bo nie wiem — ciągnęła [illegible] — Ale mi się wszystko widzi, że i ... powód...

— Nie gadajcie! — zaprzeczyła Jagnusia — Takie spokojny chłopisko...

— Spokojne wszystkie, pokiela mu dopiero pies nie stanie...

— Po rumie tak nawściekła się — zagadała Margośka.

— Koczerowa?

— Juścić, że o nię... bo ch słyszała, że jej Tomek odnieść, skoro się dowiedział, że już chodzić nie może...

— To z nią tak źle?... !

— My już widzieli od miesiąca. Lada dzień może się spodziewać...

— Moiściewy! Któż ją tak uniesprzyjaźnił?

— A no szczęście — skoro je szukała. Nie trza daleko szukać...

— Ksiądz tobek?

— Dy nie kto inny...

— No wiecie, wiecie, co ja to usłyszę! — cudowała się Margośka — Będzie ta mieć kozera pociechy... Mocny Boże!

— Jego wodziło, a córkę wwiodło...

— Hej!

— Dyć tak banował za tobkiem. To mu Bóg nagodził tobusia... niechżuna!

— O ludzie! ludzie! Co się to dzieje na tym świecie... Raty przenajświętsze!

Przeszły jeszcze długo we wieczór, ale nić nie wiele przybyło na wrzeciona. Opowiadania za to śnuły się bez przerwy, jedne z drugich. Siedziałyby do rana, i co, że świeci nie macie. Radć nie rada zbierały się około północy. [illegible]

— się odziała.

— Niech ziemia jej pi! — prosiła Margośka — Powiedzcie po ojcusku — [illegible] będzie.

— Kiedy muszę!

— Dyć kaszę tak pełno? żal ci chłopa...

— Boże! z takim chłopem!... Ani mi nie gadajcie!

— Dobry człek...

— Dyć dobry... Ale cóż mi z tego?

— Talent ma...

— Wieczny durnak! Przejęty myśliciel... Ej, szkoda i gadać. Bądźcie zdrowi!

— Uciekasz?

— Muszę! Bo jakby stary postrzegł, że mnie ni ma... narobiłby za swoje!

- No to idź z Panem Bogiem... ale jutro przyjdziesz?
- Jak ino chwilkę dopraszę... przylecę! Dobrą noc wszystkim!
- Dobrą noc, Marysiu...
- Poczciwe kobiecisko! - mówiły, jak już poszła. - Zajrzy ta przecie do nas...
- Niech jej Bóg nadgrodzi!

Marysia co wieczór przychodziła z Wydziela. Przez to im się dobrze we troje. Zosia ni tobie stała cichutko, ucieszając wzgle na ślajzach.[1] Łowiła każde słowo skwapliwie, choć niby nie rozumiała wiele z tego, co mówiły... Dowiedziała się jednak, że Marysia nie rada jest Józiowi, że Chyba Klucie i pieniędzy i o byleco Wojtka bije..., że wytrzymuje przy starym, jak się zaje - dużo, bardzo dużo się dowiedziała.

- Biedny Wojtek, pomyślała ze strachem - bije go tak i bije... mocny Boże! Ani skrzypiec nie weźmie do ręki... biedny Wojtuś! Czemu on do nas nie zajrzy? Pewnie się boi... jasne pewnie! Zbiliby go za to...
- Utrzyj węgiel! - Od czego ślozy? - krzyczała na nią matka. - ... Takie się to tępe robi, nie wiem z czego. Wiecznie coś mamrze do siebie...
- E, jak dziecko!.. - burczała Jagusińska.
- ! Zosia połykała wtedy łzy, nic nie mówiąc. Żal uczuwała do matki, a potem złośliwe zadowolenie, że przecie matka nie wie, o czem ona myśli... Na despet jej nie powie!.. Niechże bije...

Matka jednak mało na nią zwracała uwagi, mniej, niż się Zosia spodziewała. Za to o Józku rozpłakała się często.

- Biedny Józiu! Jak on tam co robi? Jak sobie tam radzi śród obcych... Boże! Boże! Ujrzę jak go też kiedy?.. Żeby się stać jaskółką na małą chwileczkę zalecieć!.. Ptakom dałeś Panie skrzydła, a nam nie... wola Twoja!
- Niezmierzone wyroki! - szepnęła Jagusińska.
- Od czasu, jak pojechał... ani słóweczka! ani marne literki!.. Niedobre dziecko... Oj, niedobre! Napędziłam mu prawie, jak odjeżdżał w świat: Pisze też Józiu, pisz! Nie zabaczuj o nas moje dziecko... Ale cóż! Ty matko gadaj, co chcesz, proś, zaklinaj... nie usłucha! Bo jemu świat piękniejszy i milsi ludzie obcy, niźli swoi... Wykołysz to na rękach, naucz mówić, to ci się tak odpłaci... Pacierza mówić nie umie, a to z daleka wyciąga ręce ku tobie szczebiocząc: Mamo! mamo!.. i zwodzi się na paciorki! A jak odrośnie - mocny Boże! - opuści z letkiem sercem, idzie we świat, i nie obejrzy się na ciebie... nie obejrzy! Daj, żeby choć jedno słóweczko

---

1) [illegible] (uzm. [illegible])

napisał: „Dobrze mi tu!“... albo: „Zdrów jestem. Nie frasujcie się!“ — Toby mi lżej było na sercu. A tak — taka głowa biedna matki! Nikt cię nie pocieszy... nik cię... nie pocieszy...

Codzień tak labiedziła Margośka nad swoją dolą i ~~płak~~ nieraz na dzień płakała, na samo wspomnienie...

Aż ~~dnia~~ jednego wpadł niespodzianie Wojtek, wołając w sieni głośno: „List! List!“

— Od Józia! — skoczyła ucieszona matka.

— Ale wam nie dam! — śmiał się Wojtek — bo nie przeczytacie...

— Mocny Boże! żebym to umiała!

~~W~~ Uczuła naraz wielki żal do kogoś... ~~zrodził się~~ w jej sercu ~~z~~rodził się wielki wyrzut, ~~[illegible]~~... nie wiedziała dobrze, dla kogo...

— Żeby nie umiały! — szepnęła cicho — Pocałowałabym se każdą literkę od Józusia...

— Co też ta pisze? Mówcie wy... — zbliżyła się Jagusinka.

~~Wojtek rozdarł kopertę~~. Trzy głowy ciekawe, bo i ~~Zosia podbiegła, pot~~ ~~pochyliły się nad~~

I Józia! — wołała Zosia, gramoląc się na ławę, gdzie usiadł Wojtek i paznokciami obrywał brzeg koperty. Trzy głowy pochyliły się nad nim, trzy serca uderzały niecierpliwym tętnem!

„Najukochańsza mamo!“ — czytał Wojtek.

— O moje dziecko! — zaszlochała Margośka.

— Daj słuchajcie, potem będziecie płakać!... — upominał Wojtek i czytał monotonnie:

„Najsamprzód pozdrawiam was po niezliczone razy i dowiedzieć się o waszym zdrowiu i powodzeniu. Co się tyczy mnie, to ~~jestem~~ dzięki Bogu zdrów, a powodzenie moje, jak we świecie...!

— Chwała Bogu! — szepnęła Margośka.

„Robię na cegielni od świtania do nocy, ino na obiad chwilę dają wolnego. ~~Ja nie~~ Zarabiam, ino po sztery cet grajcarów, bo teraz zima, to mniej płacą... Ale to na wiosnę, da Bóg, obiecuję zarobię więcej, to wam przyślę... Nie martwcie se moja mamo, ~~[illegible]~~ obchodźcie się z jakoś, bo i u nas bieda ~~[illegible]~~. Ino robić ciężko nie łatwo, a płaca mała, ledwo starczy...“ Ludzie się zewsząd garną po zarobki...

— Nie gadałeś mu, jak odchodził!...

„A tu o robotę bardzo trudno... To się nie dziwcie, że wam pieniędzy nie posyłam nijakich....

— Mocny Boże!

„Zarobię co, to przyślę, nie zwyczaj się nie nadto... Jak pojedzie Józek od Chlipały, to wam przyślę chustkę na głowę... Będziecie se mieć do Kościoła. Więcej nie ma nic ciekawego. Ino Leonowi z Bryzku urwało nogę...

– O ratuneczku!! Będzie ta ~~f~~ mrzé, biedna matka.. aj będzie!

„ Reszta się zdrowi, dzięki Bogu i powodzi się im jednako... Mrozy wielgie i zimno, a w przeszłym tygodniu lato. Madziary strasznie zajadły naród – ~~przy lada okazji bitkę zaczynają~~ biją naszych... ~~katgoż~~ Trza ono zdaleka ustępować, bo ustek życia nie pewny przy ~~takiej~~ lada okazji....

– Co za naród! – [illegible]

„ Za to Słowiaki strasznie rade na ~~nas~~ [illegible] i niewiele odmiennie mówią od nas. Ale dobrze trza uszów nadstawić, by ich zrozumieć. No, i tyle. Napiszcie mi, ~~co~~ co u was słychać? czyście zdrowi? Czy chorobę dzieci zwaliły te zimy? Kto się ożenił? Kogo ~~po~~ ~~chowali na cmen~~ na cmentarz zawieźli? Bardzo ciekawy.— Naostatku pozdrawiam was mamo, i ciebie Zosiu. Słuchaj też mamy, słuchaj, pokiela żyją. A o mnie przecie nie zapomnijcie [illegible]... Kochający Was Józek.

– No i tyle! – odetchnął ciężko Wojtek.

– Być pono tu jeszcze coś? – wskazała matka na parę ~~wierszów~~ ~~wyżej~~ u dołu.

– To już ~~la~~ mnie, nie la was... – odrzekł z dumą Wojtek.

– ~~Nie~~ Co ci pisze?

– Nie Józek, ino ten, co list pisał, dopisuje...

– Nie powie nam?

Wojtek zawahał się chwilkę – wreszcie ~~przeczytał list~~ z uwagą odczytał:

„ Nie wierzcie ~~temu~~ zgoła temu, co wyżej stoi, bo ja tak pisał, jak mi dyktowali..."

– Wyżej nic?

– A nic.

– I któż podpisany?

„ Nieznajomy – zrajony.."

Smutne milczenie stanęło na chwilę między niemi. Margośka wsparta ~~głową~~ brodą na dłoni, zadumana.

– To nie prawda... – potrząsnęła głową – Józiś by nie tak nie oszukiwał. To śpas, nic więcej...

– Pewnie że śpas! – dodała Jagusiówka.

– ~~Mój Boże! Żeby to nasz~~ Mój Boże! Jaka to bieda nie umieć. Sam by se ułożył i napisał... No, ale chwała Bogu, że przynajmniej zdrowy. Lżej mi będzie na sercu.. drogie dziecko!

– Jak on to pisze, moi kochani? – zapytała ~~się~~ Jagusianka – Że pono styry lat zarobku.. Kielo to jest?

– Styry złotki.

– To mało!

– ~~Kiedyż ni~~ Bo roboty nie ma, jak w zimie...

Wojtek uśmiechnął się, rad z czegoś, ~~cośtam~~

– Tam nie tak źle! – powtarzał. ~~Ehę! – przedrzeźniała mu Zosia!~~ – To idź! a pójdź! – [illegible]

- Trzeba mu odpisać — rzekła po chwili Margośka.
- Dyć jakże! — dorzuciła Jagnieszka.
- Napisze się mu, niech przyjedzie. Na tam ~~bez całą zimę~~ zmitręży zimę, toć i tu jest miejsce. Zarobi tela, choć i więcej.
Na złe życie nie wyda...
- Słusznie macie! Na wiosnę potem jechać może...
- Jak będzie chciał...
- Napiszcie!
- To też Wojtuś napoczesz — prosiła Margośka — ~~ja~~ powiemy jak.. i co, że papieru ni ma w chałupie..
- Dyć je mu sam powiem, jak zajadę...
- Kajużbyś jechał?
- E do Pesztu!
- Nie baj-że, ptaszku, nie baj... Masz ty rozum?
- Wiesz ty, jak to daleko... w obce kraje! — mówiła Jagnieszka.
- Dyć nie za morzem — odparł, stając na środku izby. — A choćby i za morzem, to nie cuda! Na sam kraj świata będzie pojadę...
- Ma to o czem?
- Po Pomagałach w Ameryce Jasiowi, toch zarobił. Na drogę mi wystarczy, nie bójcie się!..
- Powoli ci to ociec?
- Ehę, bo się go będę pytał, Myślicie? Coby mnie zbił na odchodnem? Nie głupich! Dyć by mię chrzestna matka, co [illegible] prał, żebych nie uciekał... ~~Taki się na niego rozje~~, to na mnie odbije.. Taki ociec!.. Radbych wiedzieć, co on też ja, skoro zrobi, jak mnie nie będzie...
- Wojtek!.. — zaleciało z podwórza od [illegible].
- Harbieta cię woła..
- Trza iść.. Jak to słoneczko leci, to strach. Już i pod południe. Czuję, że mnie ta bicie nie ominie... Ale niech ta. Niech se ociec użyje na mnie, choć ostatni raz...
- Nie gadajże!
- Ostańcie z Bogiem... Już tu przyleci jeno, nim odejdę...
~~[illegible]~~ A nachylajże się do zadka swojej [illegible], szepnął cichutko:
- Powiem ci coś na ostatku...
- Teraz powiedz.. no powiedz! — przytrzymała go za rękę.
- Nie, jeszcze pójdę we świata...
Wydarł jej rękę, którą trzymała jak papierki drobnymi paluchami i smyknął w sień za drzwiami.

./.

Księżniczki Wasyl. Pojeska – Bret.

33

XII.

– Witam się z nieboszczykiem –
– Szyscie, że nieszczęście nie było…
– Biedna zawsze bieda…

Listy. ~~Dziewczę~~ –
P. Gurska
Sewer
Dencyk
Kerling
Kuparcicz
Emilo
Bretowska.

Poprzed Chybowe okna szedł pogrzeb Margośki…

– Co on mi też powie? – pomyślała Zosia i radowała się, bo – już naprzód ciekawością.

Matka, kiwając głową, nie mogła wyjść ze zdziwienia po niespodzianem oświadczeniu Wójtka.

– Spodziałbyś się tu!

Jagusieńka nie dziwiła się niczemu. Ona już dawno przestała się dziwić.

– Ino on ci naprawdę myśli o tem… – przejęty się Krab!

– Dyć widzi Jagusię, jaczy to ludzie teraz… Ledwo się odchowa i już we świat!

– Z rozumem na świat przychodzą, mościewy… Dorosły, starszego by nie wygnał ze wsi też jeno. Chciało by się mu ino po świecie? – Dyć widzi! Młodzi idą… Dadzą se radę w obcych drogach.

– Co to nastaje na tym świecie!

– Wszystko się przewraca…

– Rumieniuje… Wójtkowi, żeby ostał. Niech

– Ja tu nie powiem, jak i dziwię nie na to się dzieci, coby jej idzie, a niech się Chyba nie nas nie umy, to się najlepiej by. Skoro go dziewczyny… Sobie się nietkięgi… syna kochać. Za robotliwość swoją na drugom chciał odbyć. Taki ociec!..

– Rozumu nijem nie wzgodzi. To już darmo!

– ale dyć, rozum chłopak wyborny, jak ojciec… Nie bojów nim tera – ino ręki! Opiekunka ręki.

– Święta prawda! Bogi ja biedny, jak mnie za niedzie prowadził. Dobrocią mogą mnie zawieść do pochoda, za to złością nikt za mną nie podoła. Czem więcej bili, tem ja gorzej.

Tak było i z macochą…

– I zawdy tak bywa, jak ojce są ladaco…

– Nie inaczej!..

– Co on mi też powie? – myślała Zosia, stawiając na oknie doniczki z ciutkich pąsżystych kwiatów.

Jagusieńka do przodka Nędzeli, Margośa z tem zaś niej uprzodzione wypada na mrodę, wodę, i tak nowe po ludzieczy nie kiedy Kpiasno.

~~Wysokie~~ Świetne c. k. Starostwo!

Ośmielam się parę słów napisać w sprawie mego paszportu. Przypomniałem sobie, że, będąc w biurze ~~Wys.~~ Św. c. k. Starostwa w Limanowej, nie zostawiłem swego rysopisu, ~~jak~~ który opiewa j. n.: wzrost średni, twarz ściągła, włosy ciemne – oczy czarne – nos mierny. (Znaków szczególnych żadnych.)

Nie potrzebuję dowodzić, że we własnym interesie podaję swój ~~ro~~ jak najdokładniejszy rysopis.

Proszę zatem Świetne c. k. Starostwo o ~~łaskawe~~ przyjęcie do wiadomości powyższego rysopisu i łaskawe uwzględnienie ~~go~~ przy wystawianiu paszportu, gdyż słabe zdrowie ~~moje~~ ~~[illegible]~~ i koszta stoją na przeszkodzie ~~pod[illegible]~~ powtórnej podróży do Limanowej.

Mając nadzieję, że ~~[illegible]~~ prośba moja zostanie ~~zostanie~~ wysłuchaną, oczekuję –

L. S.

Z głębokim szacunkiem

Fr. X. Smreczyński

Porębka W.

p: Niedźwiedź.

– Cztery... pięć... sześć... Chwała Bogu, że choć zdrowy!.. siedem... osiem... Bieda, jak się nie umie ~~na~~ samy pisać... ~~dziewięć~~ jedenaście... ~~trzy~~ dwanaście... Lepiej niech przyjedzie na święta... trzynaście... ~~będzie nam milej~~. milej nam będzie razem... piętnaście... to się nie czyni we trzy... czworo... ~~pięcioro~~ oho, już! Zmyliło mi się..–

Zgorzkł ~~[illegible]~~ wychowany od początku [illegible] nocy.

---

ments

che

ng

....Antrag/Anträge auf Zuteilung
stoffe und bitte, die beantragte
l davon zu bewilligen.

Im Auftrage.

Komornicy

R. VIII.

S. 118 – 134 wyd 26

Regierung des Generalgouvernements
Hauptabteilung
Wissenschaft und Unterricht

Zl.Wiss.I B 716

An den Herrn

Leiter der Hauptgruppe Gewerbliche
Wirtschaft,Gruppe Handwerk
Abteilung Rohstoffbewirtschaftung

Krakau

Reichsstrasse 61/63

Ich übermittle ....An
bewirtschafteter Rohstoffe
Menge oder einen Teil davo

...Anlage(n)

VIII.

Na drugi dzień rano Wojtka nie było. Myśleli wszyscy, że się schował po wczorajszej wieczerzy, przy której ojciec urwał pasek – szukali go ~~...~~ w szopie, na boisku... na próżno!
– Pewnie na wieś poszedł, na wander!.. ~~[illegible]~~
– On tu wróci! – rzekł stary – Sam przyjdzie do izbi...

Nadeszło południe – Wojtka nie ma... Nadszedł i wieczór –
– A, Wojtka nie widać!.. ~~Cóż to takiego?~~
– Cóż to takiego? – myśli stary ~~Chyba~~ [ale się ~~[illegible]~~ pokaże] On tu przyjdzie na noc!

~~Napróżno~~ Układał się już na spocząć, jak go nie przyjdzie...
Po wieczerzy siedzieli jeszcze długo w milczącem oczekiwaniu... ale nikt nie nadszedł...

Nazajutrz, skoro świtało, zerwał się Chyba z legowiska..
– Jest Wojtek? – spytał cicho.
– Ani Wojtka, ani ~~odpow~~ żywe duszę! – odpowiedziała zaspana Hanżbieta, opasując jedyną spódnicę.
– Kiż to Dyjabli! – porwał się stary niespokojnie. – Już drugi dzień... Kaj Jasiek?
– E na trawsu! Kamyżby inędy?..

~~Hut~~ Ugotowała śniadanie i bydło polała ~~jako~~ w cebrzyku. Skoro wstali od miski, oderwał się Chyba, tające gniew.
– Idź no skurwiel, idź po tego chyla... niech przyjdzie! Powiedz, że mu daruję wszystko..
– Uwierzy mi?
– Idź, kie ci gadam!
– A pasanie?
– Pomożę ci zaciesić, jak przyjdzie... Ja nie mam to chować synów, cobych za nich robił!..
– Kaj pudę?
– Wszędy idź i szukaj, dopokąd nie najdziesz... ~~[illegible]~~ Ani nie się ~~nie~~ pokazuj bez niego!

Hanżbieta ~~cichutko zaszemrała~~, zaodziała chustkę i poszła. Chyba tymczasem izbę uprzątnął i usiadł na ławce. Nie mógł jednak długo ~~u~~siedzieć, gniew go szarpał za gardło. Godziny szły, słońce się podnosiło zwolna.
– Kiż to dyjabli! – powtarzał, wyzierając przed sień. Uspokoił się potem, zdało się mu, że już leda chwila nadejdą – Nie poradz, żeby długo siedzieli.. już południe!

Teraz ~~tylko~~ to miał na myśli, jakby tu godnie Wojtka przyjąć...
– Paska nowego szkoda – Cembym go tu...

Poziérał po ławach i pokątach – Nic nie znalazł takiego

— Aha! już wiem...

Zbaczył se, że ma stare portczyska w komorze. ~~Poszedł aż~~ Pamiętał, że był przy nich pasek. Musi być, jeśli go Wojtek nie oderznął... Poszedł, ~~wyciągnął~~ wydostał je z pod sąsieka...

— Jest! Chwała Bogu — szepnął.

Powrócił do izby, siadł i począł wypruwać osmiedziały rzemień.

— Zjesz mi ty, a już ty zjesz!.. — wygrażał sobie — Ja cię tu przecie raz nauczę przykazań boskich: Nie uciekaj z domu rodzicielskiego bychu, kiej ci dobrze... Toć się na to o ciebie starał ciężko nie letko, żeby takie mieć wsparcie na starość..! Na toch cię ~~darmo~~ chował od maleńkości — huncwocie! Nie będziesz ty robił swoim durnem!.. ~~Aboś ty ociec, abo ja!~~ — Raz się to musi skończyć!.. Będziemy widzieć, czyje na wierzchu... Aboś ty ociec, abo ja! — wrzasnął na koniec i groźnie spojrzał ku drzwiom.

Kot przerażony, który przed chwilą usiadł u proga, schował się niebawem za drzwi. „W takich razach najlepiej zejść z oczu" — pomyślał se i długo nie pokazywał się w izbie, choć mleka jeszcze nie dostał... Ta nie zginie! Co się odwlecze...

Chyba siedział i czekał. Już się mu to za długo zdawało... Niech no wróci!

— Matko Boska! dajże też, coby wnetki przyszli, bo mię krew zaleje doznaku... Porachuję ci kości, to cię ~~nie minie~~ żadną miarą nie ominie. Huncwocie! Co mnie ty zdrowia kosztujesz! Samiuten zbój taki nie był — a widzisz co z niego? Marnie skapie i zgnije... Tegom się doczekał — Chryste Panie! zmiłuj się nademną... Choć kto powie: zły ociec, nie bije, ~~tanie~~ karze... Dyć karz! Jak ci ręka upada, a ten swoje robi... Popamiętasz ty nie rok nie dwa, mo mi przydź do garści!..

Przed oczami ćmiły się krwie. Chyba wstał, złożył pasek we troje i czekał... ~~Weszła~~ Elżbieta weszła do izby.

— Kajże on? ~~...~~

Trząsł się cały i groźnie spozierał.

— Wojtka ni ma...
— Co plecien?!
— Pojechał do Peretu...
— Nie gadaj mi!!
— Dyć widzicie, jak mi nie wierzycie... ~~tę~~ Tamte nocy pojechał z Jaśkiem od Cichorza...
— A! przeklęta godzino!.. Tegom się doczekał!...

Począł w głos desperować... Padł na ławę, zerwał się znowu, chciał gdzieś lecieć. ~~Wreszcie opamiętał się~~, ale wściekłość go nie opuszczała...

Harbiela zniknął zaraz. Sam zaniósł polanie do stajni, stał nad krowami, gdy jadły i laskę dornaku podawał na ich kościach. Cielę zbił, że ryczało... a wychodząc, konewkę cisnął na próg z taką siłą, że ino drzazgi zostały rozsypane.

Uspokoił się wreszcie nie zupełnie. Chodził po obejściu i szukał, sam nie wiedział, czego...

— Komornicy! Psie dusze! Oni temu winni... Ściągali go do siebie... Słuchał ich, ten huncwot!.. Ale ja kiep, żech cierpiał tych dziadów przeklętych... Ten z Pentu mu naschle [?] brał, naobiecował... i usłuchła gadzina!.. Bo jak taki... Rosei [?] mi ni na za pół centa... Psie dusze! nie daruję! Chałupę rozwalę! Niech zmarzną! Niech skrępną!...

Zrobiłby to może, ale wścieklejszej. Teraz inaczej klął i pomstował, aż rozlegało się po całej wsi... Ludzie powiedzieli, że to już ostatki gniewu. Najgorszy wtedy, jak nic nie gada — powiadali...

I do izby Margośki dolatywały przekleństwa starego. Przerażone, słuchały przez okno głośnych przez wole...

— Co ojcowie? — szepnęła Jagusia.

— Musiał Wojtek pojechać... jeśli-że tak... Słyszysz?

— Ale o cóżby na was!

— Dyć on zawdy taki... Stanie mu się co, to nikt, ino ja winna...

— Nie obermierzcie się?

— Cobych się obrywała! Jeszcze by mnie zbić gotów nieboszczyk. Ni co Boga obrażać?...

— Ja mu powiem...

— Siedź-że, siedź, nie wychodź... Wyklnie się i ostanie. Dyć nie raz tak. Boże! co ja wycierpiała... Niech i to będzie na większą część i chwałę Twoją!

Wieczór przyniósł głośne słowa. One milczały, siedząc każda przy swojej robocie. Jagusia przędła jeszcze porostałe [?], Margośka ziemniaki skrobała na obiad. Codzień jedno! Jedno i tosamo.

— No i widzisz wszystko pomoże — powie Jagusia.

— Miał się obrócić, nie obrócił... Kto wie, czy on tak pojechał [?]!..

— O panie... Coby mu nie jechać?

— Ino kto wie, czy zajedzie do Pentu...

— Chyba nie on!..

Zosia się nagle rozpłakała...

— Co ci to Zosiu? — przelękła się matka..

– Obiecał mi coś pedzieć! – mówiła, zawodząc żałośnie.
– O bajano! bajano... cóżby ci powiedział! Spasowałaś!
– Eh! jużci! Bo wy go nie znacie...
– To to się ślimaczyć? – śmiała się już matka.
A Zosi takie łzy szczere przyszły z oczu, jej rzadko. Niedługo ich było i wnet się ustanowiły. ~~Albo Zosia poważniała odtąd. Nie takiej jej było pobudzić do śmiechu.~~
– Dziwne te dzieci – myślała matka... Już płacz, już śmiech... na zawołanie!
– A ten Pent... Daleko to? – spytała Zosia tak przy[illegible]wadnie, że i Jagnieszka rozśmiała się przy łzach dzieci...
– O daleko, daleko... przeżegnajcie się też!...
Odtąd Zosia nie pytała się o nie, albo posmutniała bardzo.
– Co on mi też ~~miał~~ miał pedzieć? – rozważała sobie ~~w cichości~~ cicho matka.

Minął dzień wartko i jeden i drugi. Przekleństwa starego Chyby poszły w niepamięć. I on zapewne nie myślał o wójtem. Wyrzekł się go przy ~~wszystk~~ ludziach, a co się w sercu działo, to nikt nie wie... Spochmurniał ~~tylko~~ ~~bardzo~~ jeszcze bardziej i zaciął się w sobie.
Coraz mniej ludzi przychodziło na tracz, bo wszyscy ~~już~~ przynosili ziarno, ~~z konieczności~~ ~~i to~~ z konieczności. Na tracza partii było, traczów nie wozili. Sałowie ~~tylko~~ czasem szyli, ale coraz rzadziej... Mimo to Chyba coraz częściej na traczu przesiadywał. ~~Zima, w chałupie nie było co robić. Harbieta nie chodziła z kobiety do chałupy... Nie bronił jej, tylko zawsze wołał chodzić jej zbyt...~~ Majstrował coś przy kołach, ~~to~~ przykopy naprawiał... ale najczęściej łaził tylko, bez żadnego celu. ~~Jakoś się zato~~ I nieraz się na jaskę zapatrył przy robocie i nieraz półdnia przestał lub na deskach przesiedział nad wodą...
Zima! ~~tylko~~ Śniadanie jedli, wcześnie odbyli bydło wszystko, a zresztą w izbie nie było co robić. Harbieta nie chadzała z Kędziorką na chałupy. Nie bronił jej stary Chyba...
– Idź mówię... ino mi się nie waż za wodę ~~do Kaczmarków~~, Acz Krobiec! Bo jak cię tam dojrzę... rozumiesz?
Harbieta, mimo chęci, nie wyszłaby się tam po ~~takiej~~ zapowiedzi przez w tę stronę... ~~Z Kędziorką chodzić~~ Cóż dopiero iść! I odtąd nie zaglądała do Margośki.

Za wodą jednako czas płynął, dzień po dniu... Śniadanie i obiad, wieczerze i spanie i dwa razy ~~dzie~~ na dzień tesame paciorki. Doba za dobą mijał bezpowrotnie, a każda wlekła za sobą coraz większe zmęczenie i ospałość...

– Kiedyż się ta zima skończy, mój Boże!

– Dopiero się zaczęła...

– Taka długa!

– Jak życie biednego człeka...

– Wiatr nie zajrzy, nie obróci się do nas...

– Dyć tak, moi kochani – dodała Jagusiowa – Jak lato przyjdzie, to nas ~~to~~ widzą i najdą każdy... W zimie siedź, abo zdychaj, nikt się nie popatrzy...

– Ani do kogo wyjść! A z kim zagadać!..

– Nierada gospodyni! nierada... Gdzie mogę chodzić, ~~[illegible]~~ i odsiadać się wzajem... to ich święto! nie nasze...

– Dyć tak, nie inaczej.

– ~~Biedni~~ Komornicy powinni najmniej miejsca ludziom zajmować na świecie... bo tak już Bóg przykazał... ~~od początku...~~

– Dyć nie stoi w piśmie...

– Cóż tego się nie stoi?.. ale życie powsadzie tak – moi kochani! Do mysie dziury wleźć, i to zaduszno! Jno żeby się stracić doznaku, z kretesem...

– Bajże, baj!

– O wierzcie mi! Bajtek nie układam... Ani mi o siebie nie chodzi.. bo cóż ja tam jedna mała odrobinka znaczę? Będzie mię czy będzie – to świętu jednako... A nawet sam wszystko powiem, żeby się tu dosiedziało bezcennie obeszło...

– Co też plecion!

– Jno mi o tych idzie, co im żyć nie wolno...

– Któż im broni?

– O, je nikt... Ludzie im nie przeczą. Ale za ojców niebieski ciał (?) koni życie, a sposobów ~~do życia nie da... moi kochany~~! wyzbieral do życia... i żyj-że tu!

– A rozumu nie daje?

– Cóż biednem po rozumie? moi drodzy! Tele, że więcej czuje, co go boli...

Przegadywały się tak niemal i długi czas, a potem ~~sięgły~~ obie spłakały nad swoją dolą komorniczą... Zaś inszy raz mówiły o ziemi, o tej ziemi, co jej tak dużo na tym świecie...

– ~~Nie tyna~~ Nie ta wszystkich!

– O Jezus! Cóżby wszyscy robili?.. Niedostałoby się i tak ani.

– Choć po morgu!

– Cóż to płaci!

– Nie było by przynajmniej zazdrości na tym świecie..

– Ehę! musiałabyś chyba naturę ludzką przeinaczyć...

– Nie wiem, ktoby się też zajadał, jakby miał tyle, kiedo mu potrzeba?..

– A wiem ty, kielo komu potrzeba?
– Coby wszystko...
– Też o to idzie, że jednemu świata mało, a drugi nie ma gdzie głowy skłonić i nie krzywdzi se...
– Bo je głupi!
– To my wszyscy głupi. Ale darmo! cóż bedziemy robić? Z tem uwiązi ino wola Boska nami rządzi...
– Edyć tak, tak. Ale gospodyni! żeby to były moje rządy na tym świecie...
– Oj biedna bieda!
– Musiałabych przecie tak zrobić, żeby się nikt nie skarżył...
– ?
– Nikogo-bych nie naganiała do roboty... Aleby kieżdy zeżarł, co się mu patrzy...
– A Panienus z ludźmi ni mogł se dać rady, a człeki se poradzi? Nie wiem temu gadaniu...
– Bo nie to gorszy, jak ja widzę, że tyle po wsi biedy...
– A jedni drugich obdzierają, jak wilcy, nie ludzie!..
– Jakeby miał kaździ, co się patrzy... jakby wszyscy mieli....

Beżdomnu o chałupie – chałupniczy o roli myślę... ~~nie dziadek~~ a gazdowie?

Siedziały nieraz długi czas we wieczór, nawet kiejże ~~nawiedzał~~ na ten świat niewidzialny, reformując go prosto, podług ~~[illegible]~~ pochopnych swoich aż cół ~~nie~~ drzemka ~~[illegible]~~ nadlatywała niechcący i szły spać, a na drugi dzień opowiadały sobie nawzajem dziwne sny....
– Zdało mi się – mówiła raz Jagusienka – że idę ostrożnym urwiskiem ponad wodą i szukam czegoś, nie wiem czego... Wtem słyszę turkot wozu koło siebie i dzwonek się do lewiń z niedaleka... Drapię się i stymam śród jałowców, aż ech się wydostała na gościńce. Turlikanie wciąż słyszę, nie ustaje... Lecę ja z tym głosem, modlicowy, aż niedaleko mostu spotykam: wóz, konie jednakie i księdza... Pewnie do chorego! myślę sobie i klękam... Ale ksiądz woła na mnie: „Kobieto! Kobieto!”. Jeszczech podeszła ku niemu. On wziął z tarzi z wozu, zdejmuje z piersi Pana Jezusa ~~sk~~ wkłada na mnie i mówi: „Siadaj! jedź do chorego, w tej najniższej chałupie za wodą... a konie same cię poniosą...” Ja się wymawiam, jak mogę, ale ten nic ino jedź i jedź bez ten most... bo je niegodny – pańdziebych tę wodę przejechać... Rady nie rady – coby robić! Konie ruszyły, jadę, jadę... Przyjechałam na środek

mostu... I ściskam Tego Pana jeszcze z taką cześcią i bojaźnią... nagle wrzask! most się łamie... ja z wozem pod wodę...

— O ratuneczku! — szepnęła Margośka.

— Wydobyłach się jeszcze na wierzch. ale samo. Wóz, konie zabrało... Ja się grzebię do brzegu wszelkiemi siłami, a woda mię unosi... unosi coraz dalej... Modlę się, wołam na wszystkich świętych po imieniu... nikt nie przybywa! Już w strachu wielkim, że mię woda weźmie a Panicz utonie razem ze mną — przyjechał go dziedzic do pomocy, co ino... Wtem się ludzie zjawili, podali mi orczyk i wyciągnęli na brzeg pół-martwą...

— No chwała Bogu!

— Ale ja nie poszła z niemi, ino stoję, lamentowałach i poziarała smutna ku wielkiej chałupie za wodę...

Zbudziłach się, a jeszcze mię serce bolało...

— Coby to mogło znaczyć?...

— Bóg wie i stróż kościoła — odrzekła Jagusia.

— To dziwne! Bo i mnie się podobnie śniło...

— Opowiedzcie!

— Ale już tak dobrze nie pamiętam...

— Choć troszeczkę! mamusiu! — dopraszała się Zosia — ja tak rada słucham... A nigdy mi się nic nie śni...

— To słuchajcie dziecko i ty Jaguś...

— Mówcie, bo słuchamy...

— Śniło mi się, żech była w kościele przed ołtarzem Niepokalanej... A na ołtarzu przy Jezusie, niby małe dziecko, takie, jak to matki na ręku noszą... Modliłach się gorąco i ofiarowałach to dziecię Przenajświętszej na Jej cześć i na chwałę... Ale mię ciężko na zębach, bardzo ciężko... i cóż robię? Zbliżam się i kładę go na ołtarzu, a potem wyjmuję sobie zęby po jednemu i daję mu do zabawy. I kiedych już ostatni ząb wyjęła ku niego — wtedy widzę jak się Przenajświętsza Panna ku mnie z obrazu nachyla i przyzywa mię ręką do siebie... Zbliżam się nieśmiało z wielką trwogą. A Ona, patrzy na mnie litościwie, uczyni świata kwiatek, jaki rośnie pod stopami... Skosztuj — mówi mi — tego chleba, jakim je na świecie zyta!... Z przestrachem biorę, kładę do ust... gorzkie! I Twarde, jak jeśli — kiedy nie ma ani jednego zęba!...

Ale Ona zachęca mię wzrokiem, bych jadła... jużci gryzę dziąsłami, do krwi gryzę, a łzy mi się toczą z boleści... Przełykam wreszcie. O! powiadam wam, jaka słodkość nastąpiła potem... To nie można pojąć!... Coś takiego, jak jakby samego nieba użyczył, abo raju...

– I co potem?
– Obudziłam się... ale tę słodkość do dziś w ustach ~~[illegible]~~ miała...
– Wicie, wicie...
– Naprawdę! Mówię wam...
– Dyć wierzę! – kiwała głową Jagnieszka z przekonaniem. ~~[illegible]~~ Co by nie!

~~Kiwała głową Jag~~ A Zosia tak się zasłuchała głęboko, że jej pot ~~[illegible]~~ drobną rosą na czoło wystąpił.

Długo potem rozbierały na różne sposoby znaczenie tych pokrewnych snów. (~~Wreszcie doszły sposobu jak wspólnie [illegible] się pogubiły w labiryncie świetlanych i niejasnych przypominań i coraz dalej były od zbawczego rozwiązania~~) Ale im dłużej myślały, tem ~~[illegible]~~ bardziej oddalały się od ~~[illegible]~~ zamierzonego rozwiązania. Więc polecimy Boga siebie i chatupę, przestały o tem myśleć. Bo i nowe zatrudnienie zajęły im czas. Margośka ziemniaki z dołu dobywała, nosząc do izby koszykami, z obawy, żeby nie przemarzły ~~na pola~~ pod śniegiem, zimie tak mroźnej nie było co dowierzać, jak to nieraz doświadczenie dawne...

Len oprzędły już przedtem i na żerdce wisiało „dwa dziesiątki cieńszych, a osiem grubszych łokci. Jagnieszka zaś brała się jednego dnia, by zanieść przędziwo, gdzie należy, zaś ~~[illegible]~~ odkładała ~~[illegible]~~ już łokcie w ~~[illegible]~~ paruchy, kiedy ~~[illegible]~~ wróciła ~~[illegible]~~ z pola Margośka...

– Pójdzież ze lnem?
– Juści pora iść...
– Zaczekajże, porachuję, kielo nam to przyjdzie... Dwadzieścia łokci cieńszych. Po ile?
– Po trojaku...
– To dwa rendliki... A osiem grubszych po pięć centów – to... będzie... sztyrdziści.
– Chyba więcej!
– Nie. Dobrze. Dostaniemy każda po dwanaście złotek...
– La Boga! cały miesiąc!
– Taki to zarobek!.. Ha! co robić? Żyć trzeba – to nic nie pomoże...
– To ja pójdę...
– No idź-że. Ale się też wracaj!..
– O, cóżbych tam robiła...
– Niech ci Bóg poszczęści....

Jagnieszka poszła, brnąc po śniegu ~~[illegible]~~ ~~na drogę i do~~ naprzeciw po kolana. ~~Od chatupy do chatupy~~ Z wysoka biedą ~~[illegible]~~ przepychała się do chatupy. Ludzie niewiele chodzili, chodników nikt nie robił...
– Żeby ino zastać wszystkie w chatupie! – modliła się i rachowała drogę wiele od której ma dostarczyć uprzędzione łokcie

69. Pomyliła się jednak w niedobrych nadziejach, bo żadna ~~gospodyni~~ gaździna nie pochwaliła się jej, że ~~wsz~~ wszystkie pieniądze ~~wszystkim~~ wszystkie prawie były rade, ~~że~~ że im tak ~~na~~ w czas odniesła, raczyły ją śniadaniem, ale żadna nie napomknęła o zapłacie. A gdy Jagustynka, mając do jednej większą śmiałość, sama się przypomniała, ~~odpowiedziała jej drwiąco~~ usłyszała ~~gorzką~~ cierpką odpowiedź: że ~~ludzie~~ ona przecie nie za światem, ba w tej samej wsi, a ludzie z ludźmi żyją... Tylko ostatnia (Jurgdowa!) u Szołtki obiecała zapłacić rzetelnie za uprzędzone dla niej motki. ~~Ale przedtem prosiła~~ Potem zaczęła molestować Jagustynkę, by została u niej na tydzień.

— Pomożesz mi prząść, to ci dam jeść, zapłacę i będzie...

— Dyć bych ~~ta~~ z chęcią, ale...

~~Ale~~ Zbaczyła sobie, że Margośka już mało ma ziemniaków, do Świąt ~~jej~~ nie wystarczy... a ona tak siedzi u niej poprożnicy i pomaga jeść... nie grzech to? jeszcze siły ~~ji~~!... Teraz wróci do niej z próżnemi rękami...

— No siadajże! weź kądziel... o cóż ci to idzie?

— E dyć... nie nic... ino tak... nie wiem, jak to będzie....

— Z czem?

— Z Margośką...

— Bajanie! o nich tam dwie, to se dadzą radę... Cobyś się frasowała? Pobędziesz u mnie tydzień, a choćby i dwa... bo przędzenia mam kupę. Zdejmijże chustkę i siadaj...

Jagustynka chustkę zdjęła i ~~została~~ siadła przy kądzieli. E dyć taki ~~ji~~ tam dom, jak i tamten... Nikaj wiekować nie będę — pomyślała...

---

ements

iche

ung

.....Antrag/Anträge auf Zuteilung
hstoffe und bitte, die beantragte
il davon zu bewilligen.

Im Auftrage.

Komornicy

R. IX.

S. 133-150 wyd 26

ments

che

ng

....Antrag/Anträge auf Zuteilung
stoffe und bitte, die beantragte
l davon zu bewilligen.

Im Auftrage.

IX.

Margośka naprożno wyczekiwała Jagnieszki.

Ziemniaki zniosła do komórki z ciężką biedą i poobrywała kiełki, ziemi porośniętymi.

— Chwała ci Bogu! — rzekła, skończywszy robotę — trza było się, że przemarznę. Ta im już nic nie będzie. Alech się też namęczyła, naj[...] oddychać ciężko — Nie ma już widać takiej siły, jak dawniej...

Teraz ino, żeby Jagnieszka zadarła z pieniędzmi, to się kupi o[...] mąkę i będzie... Do świąt wystarczy z pomocą bożą... a na Święta Józuś przyjedzie...

— A kiej Święta? — pytała Zosia..

— Ho! ho! jeszcze przecie, daleko...

— Józuś! Józuś! — śmiała się Zosia.. — A może i Wojtuś z nim przyjedzie?

— Źrebię niemądre, nie dokazuj! Czego się tylko ciągle śmiejesz? Ani patrzeć nie mogę na twój śmiech... O Jezus! jak mnie też to krzyże bolą... mrówce chodzą po całem ciele.. uh! zimnością... Przyłóż-no drew na ogień... niech się pali.. Nie widać że Jagnieszki, nie widać.. Cóż to takiego?

Na wieczerzę zjadła dwa ziemniaki i poszła spać. Nie mogła jednak usnąć, myśląc: to o Jagniance, to o Józku, to o wszystkiem, co się jej nasuwało przed oczy... Myśli przebiegały szybko, jak woda na przykopie... Płynęła z wodą daleko bez pamięci... naraz woda spadała na nieznośnie koło, a ona się zatrzymywała w przestrachu, dzwoniąc zębami... Wówczas ją zimno oblewało i krew się ścinała w lód.. W trwodze największej poczęła krzyczeć, ale głos jej zamierał na wargach... Zebrała wtedy wszystkie siły, by się choć trochę poruszyć... I z tym zimnem zrywała się na pościeli, otwierając oczy... „Jezus! Maryja!” — szeptała — przelękniona... — jak mnie pali na wnętrzu... Pić! pić!..

Szukała powoli po omacku, a znalazłszy, gasiła wodą zimną ogień wewnętrzny... Powtarzało się to często, bo ledwo, zamknęła oczy, zjawiały się te same sny i męczące widziadła...

Nad ranem chwilkę zasnęła spokojnie i zbudziła się nieco zdrowsza.

— Chwała ci Bogu! — szepnęła — że to ino gorączka, nic więcej... Może przecie odejdzie, jak wstanę...

I zwlokła się powoli z łóżka, choć jej w głowie szumiało więcej, a nogi dygotały pod nią...

— Czy się mamie co w nocy zdawało? — pytała Zosia.

— Oj zdawało, dziecko, zdawało...

— Boch słyszała, jakeście gadali..

— Zmówże paciorek!.

Poszła po wodę, ale przed sienią omało się nie przewróciła, taka niemoc ją opadła na mrozie.

71/

Oparła się o słup i długo stała, ciężko oddychając, zanim przyszła do siebie... Przyciągnęła do izby konewki z wodą i ~~ledwo ugotowała śniadanie~~... ~~ale go już jeść nie mogła. Kolki ją wciąż tak silne, że nie mo~~ z wielką biedą ledwo ugotowała skromne danie... ale sama nic nie jadła. Kolki ją wciąż tak silne, że wstać nie mogła. Musiała się położyć. Oddawszy Zosi robotę, legła na ~~[illegible]~~ grochowej pościeli i więcej nie wstała, nie dała rady...

Zosia z przejętym płaczem starała się wywołać matkę z łóżka, a wreszcie widząc, że to nic nie pomaga, poczęła ~~[illegible]~~ sama krzątać po izbie. Przypominała ~~sobie~~ co i jak robiła matka i powtarzała codzień to samo, wysilając drobne siły nad miarę. Z konewkami po wodę obejść nie mogła, to w garnku przynosiła. Na ogień drwa [illegible] podnosiła z wielkim mozołem. Wszystko robiła sama, bez nakazu, tylko przed każdym gotowaniem zbliżała się do łóżka z zapytaniem:

– Mamo, co wam dziś ugotować...?

– Ugotuj, co chcesz... ~~[illegible]~~ – odpowiadała zawdy jednako matka.

– To znowu nie będziecie jeść... jak i wczoraj...

– Nie nudź mnie też, nie nudź... – odwracała się twarzą do ściany.

Zosia więc gotowała wszystko na swój domysł, pozierając żałośliwie na łóżko. Przynosiła potem ugotowane na misce i stawiała ~~przy łóżku~~ przy głowach łóżka na stołku.

– Jedzcież mamusiu...

– ~~Daj mi spokój~~ Nie będę, nie... Daj mi spokój.

– I jakże!... – szlochała Zosia – Teraz nie, potem nie... Kiedyż będziecie? Umorzycie się do znaku!..

– Ja nie głodna..

– Eh! też ta! cóżeście to jedli?

– Tu mam pełno... pełniutko!.. – wskazywała chora na dołek.

Ustała Zosia ustała nad łóżkiem, nareszcie widząc że nie przymusi, brała miskę i odchodziła ku ławie. Niewiele było ziemniaków, ale połykała z nimi słone łzy...

Wolnemi chwilami stawała nad łóżkiem i pytała troskliwie:

– Co wam też to takiego mamusiu?

Marysi wtedy łzy stawały w oczach, ~~ale [illegible]~~ odpowiadała jednak z wysiłkiem:

– Nic, moje dziecko... to przejdzie...

– Powiedzcie, co mam radzić... może iść po kogo...

– Po kogo? moje dziecko... ktoby ci tu przyszedł?

– Są przecie ludzie...

– To [illegible] sobie żyją... ~~[illegible]~~ Idź i bielizny [illegible] papierz ~~[illegible]~~ się obawiała...

Klękała Zosia przy skrzyni i mówiła wyuczony pacierz... A gdy się jej to za mało zdało, wnet od siebie dodawała prośby, takie proste i rzewne, że chora słysząc to, płakała na pościeli. Z ufnością wielką oczekiwała Zosia dnia, w którym mama wstanie... i nie mogła się doczekać. Może jutro, pojutrze!... Mijały dnie za dniami, a polepszenia znikąd nie było widać...

Chora coraz częściej zapadała w omdlałą senność. Nie widziała nic dokoła, często nie poznawała Zosi, która stawała przy łóżku z otwartemi szeroko oczami.

Niekiedy wracała jej przytomność, a za nią gorsze myśli pchały się ciżbą, dręcząc ją boleśniej i bardziej, niż sama choroba.

— Nikt mię tu nie odwiedzi, nikt nie poratuje... Tak mi już przyjdzie w opuszczeniu doczekać końca... Napróżno ku drzwiom patrzę, nikt nie zajrzy... Świat sobie żyje, ludzie mrą...

O [illegible] przestała myśleć... Kto wie, gdzie się podziała? ~~[illegible] poszła~~ Zato o Józku myślała często z bólem serca.

— Wychowaj dziecko na pociechę... dokładaj się wszelkiemi siłami, troszcz, żeby mu było jak najlepiej! Serce byś wyjął dla niego, całą duszę... A jak cię choroba zachorzy... Boże ratuj! Ty matko leż na pościeli... nie zajrzy! Przychodzi czas na ciebie, opuszczą siły... nie ma ci komu iść po księdza... oj nie ma! — labiedziła często — ~~[illegible] ja pół centa, a~~ ani ja zdrowa, ani ja pociechy za pół centa... Święty mocny Boże!

Na Zosię patrzała załzawionem okiem.

— To dziecko... Ostanie samo, bez opieki... i tak pójdzie pomiędzy obcych, jak ja od maluśka; na wieczną poniewierkę, na ból... Nie żal ci Boże tego dziecka?

Leżała blada na pościeli, wyschła do szczętu. Twarz poczerniała, jak śmierć, a włosy się zlepiły w jedno pasmo. ~~Gdy~~ Widząc ją, można myśleć, że już dawno życie z niej uciekło — gdyby nie oczy... wielkie, szklane oczy. ~~Całą duszę w nie zebrała, uciekając z ciała.~~ Zatrzymała się w nich dusza, uchodząca z ciała. Nieskończoność widziała z nich, nieskończoność, moc smutku i beznadziei... ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ — ~~Bóg mi [illegible] w chwilach cięższej słabości — Bóg mi zesyła ten krzyż~~ — Boże! — wołała w chwilach cięższej słabości — Boże, czemuś mię opuścił!... Zapomniałeś nas, porzucił na tej ziemi... Dałeś nam zakosztować męki Twojej... o Jezu! Dźwigaliśmy ten krzyż w pokorze, bez szemrania... Dajże nam cichą chwilę skonania... Nie opuszczaj w godzinie śmierci... o Jezu!

Były chwile, w których zdawało się Zosi, że mama kona... Wybuchała wtedy takim przejmującym płaczem, że na powrót ~~za~~ omdlałą ~~chorą~~ przywoływała do życia...

73.

~~Pożyje.~~ Po jednej takiej nocy, gdy śmierć borykała się z życiem i już... już miała je zadusić – nastąpiło niespodziewane polepszenie. Serce podskoczyło Zosi z wielkiej uciechy, gdy ~~matka ocknąwszy się~~ zaraz rano zawołała słabym głosem: Jeść!!!.. Podbiegła ku niej i zapytała uśmiechnięta, ~~jak bojąc~~ z obawą, by nie spłoszyć ochoty do jadła...

– Co też będziecie... mamusiu?

– Z mąki... z mąki!

Uradowanie Zosi wnet uciekło. Ona już od tygodnia je same ziemniaki, bo nic więcej nie ma w chałupie... Co tu robić?

– Może ziemniaka zjecie? – ~~podsunęła z bojaźnią~~ powiedziała cicho.

– O, nie, nie!

– To cóż wam dać...

– Z mąki! ugotuj z mlekiem... prawda – mleka ni ma... – spojrzała na Zosię ~~Co ci to? moje dziecko~~ O, coś ty płakała... dziecko?

– Bo i mąki ni ma!..

Smutne milczenie stanęło między niemi. Po izbie wlokło się ciche łkanie Zosi, za którem wodziły żałość wielkie szklane oczy... Oczy te spotykały wszędy czarne widmo... ~~Z pod okna~~, Z pieca, od drzwi i z każdego kąta ~~wypełzała~~ * zwolna do światła ślepa jaszczurka – nędza... I w snopie złotych promieni, wpadłych przez zadymione okno, ~~[illegible]~~ zerała się na środku izby, obracając dokoła złowrogie ślepia... ~~Bóg~~ W najciemniejszym kącie pod ławą czaił się potwór straszny, mały niemowlę – głód... Dojrzały go i gdy za wyciem się po izbie łkaniem – wielkie, szklane oczy i stanęły nieruchomie, ~~jak~~ niby kuliste bańki lodu... Zwolna poczęły topnieć, zamieniając się w białe krople...

Margośka zapłakała ~~[illegible]~~... i spojrzała na porzucone ostatki łez...

~~[illegible]~~
– Mamusiu! – szepnęła Zosia.

– Co?

– Ja pójdę po wsi... – zająknęła się.

– Na taki śnieg!..

– Przyjdę!.. będziecie widzieć! Obuję stare kierpce... odzieję się...

Margośka nie odpowiedziała nic, a Zosia spostrzegła w jej oczach ~~błyszczące~~, przebierając nogami z oczekiwaniem.

– Mamusiu!..

Chora z wysiłkiem obróciła ku niej głowę.

– Pójdziesz... to idź... Ale to się na nic nie przyda...

– Przecie ludzie mają... czemużby nam nie dali?

– Mocny Boże! – ~~zapłakała starowina, wodząc szklanemi oczami po izbie~~, Zosia zaczęła się zaobuwać i zawiązała na siebie maminą chustkę.

– Jakie piedzieć? – spytała, stając przy drzwiach.

— Proś piekarza, niech ci dadzą choćby kapkę mleka...
— I to mąki też?
— I mąki, abo ziarna choć szczypczyzę!..
— Dobre!
— A wracaj też tu... wracaj...
— ~~Owszem~~! Cóżbych tam siedziała!
— Moje dziecko!.. do widzenia...

Zośka już była za progiem. Przymknęła drzwi do sieni i poszła się po miękkim śniegu, zmierzając ~~prosto~~ ku Tarze.

~~Baraszkując [illegible] śnieg, chrzęszczący pod nogami.~~

— Jak to dziwnie w oczach wyplata — tak się mieni... ~~tak się~~ jakrzeby na słonko patrzał... Bieluśko dookoła...

Pierwszy raz ~~tej~~ w zimie wyszła tak daleko... Bawiło ją ten śnieg, chrzęszczący pod stopami... ~~Zgrzyt, zgrzyt~~!

— Zgrzyt... zgrzyt... boli go, że naciskam... niech boli! — uśmiechała się, stawiając silnie małe ~~stopki~~ opapurzone stopki. Zapominała na chwilę o chałupie, o wszystkiem...

— Żeby to pierze było zamiast śniegu... rety! byłoby się po czem walać... Skąd oni tam w niebie taki śnieg mają?.. ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ Pewnie też śnięgi ~~całe~~ bez całą zimę po[illegible] zeskubią, a dopiero, jak leży, to zmarznie... Nie tobie odstąpiło i którzyby zbierali... Oto ~~[illegible]~~ oni tam ~~[illegible]~~ inne ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ kobiece gęsi... abo kto wie...

Niedługo doszła do Tary i ~~[illegible]~~ drzewo omarzło i ostrzygło po wierzchu. Przeszła się cała, oglądając po nim, ale urzędowo prawie. Tu ~~[illegible]~~ już droga ~~[illegible]~~ ubita prowadziła do chałupy.

Poczęła, ~~teraz~~ tędy, myśleć nad tem, gdzie ma iść najpierw i jak zacząć, jak prosić.... ~~[illegible]~~ Z drogi przestąpowała przed pierwszej chałupy przy drodze.

— Wyjęcznę się, to pójdę kuindziej, ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ przy ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ i ~~[illegible]~~. pomyślała.

Przyjadali prawie, gdy weszła. Pochwaliła Boga i spojrzała najpierw ciekawie, co jedzą...

— Czyjaś ty? — spytali
— Margośczyna za wody...
— To już tele dziopuszy Margośka wychowała.. no wiem! — dziwowała się gaździna, dolewając mleka do klusek.
— Zawołajże ją do miski! — ozwał się gazda.
— Coby ci szła!.. — odrzekła — Pewnieś już po śniadaniu? — zwróciła się do Zosi.
— ~~Już~~ Już!.. ~~[illegible]~~ ~~odpowiedziała szybko~~ odpowiedziała niewyraźnie.
— No widzisz!.. — mówiła gaździna — Oni tam zawczasu śniadają, choć komornicy...
— Bo wstają ~~we~~ w czas.. nie leży se, jak ty do śródpołudnia! — mruknął gazda.
— Nie kuś że mnie na boską obrazę!

Zosia widząc, [illegible] się zanosi, podeszła do gaździny, i obłapiła ją mięciutko za kolana i...

– Kazali was też tu mamcia pięknie prosić, cobyście mi dali kapkę mleka i mąki...

– Niemacie to kóz?

– Ni mamy, bo mama przedali...

– Taak? To matka pierwsze zbyja, a was na żebraki goni? Dobra matka!

Zosi łzy zakręciły się w oczach. Chlipała powietrze, gwałtem wstrzymując się od płaczu.

– Powiedz matce, że ja na swój krów nie chowam... ma u mnie kto zjeść i wypić, żeby co było...

Zosia próbowała otworzyć usta, ale za każdy raz pełniutkie gardło łez... Nawróciła się w milczeniu i wyszła przedsieni.

– Wiecie, co to za wychowanie! Nawet nie powie „ostańcie z Bogiem”! – leciało za nią z izby.

Ustała chwilę, nie wiedząc, gdzie iść... Najchętniej by wróciła do domu. Ale się przemogła wreszcie i poszła do następnej chałupy. Tu ludzie dobrzy wymówili się, że sami nie mają co do gęby włożyć. Nie lepiej poszło i w sąsiednich chałupach. Wszędy wchodziła nieśmiało, bojaźliwie i drżącym głosem poczynała zaraz od progu:

– Kazali was też tu mama pięknie prosić...

Ale wszędzie spotykała tę samą odpowiedź, łagodną lub ostrą, zależnie od humoru, niewyspania lub kłótni domowników... Gdzieniegdzie odprawiali ją bez pytania, gdzie indziej zaś pytali się uporczywie: na co? po co? jak? Matka – mówili – za darmo nic nie zrobi, nie wypytam jej lekkomyślnie, a dziadować to umie..." Zosia wtedy wolałaby się do mysiej dziury schować, niż tak stać ludziom na widoku... Umknęła czym prędzej i nawet zapominała rzucić naostatek: „Ostańcie z Bogiem”!.

Dziwiła się temu, że gdzie jej mieli wolę dać, a powiedziała, że matka chora – to zaraz wymawiali się byle czym i nie dali. Poniektóre zaś dziwiła, że gdy jaki chłop litościwego serca wsadził na babę: czemu oto biedujący kapki mleka? – ta odpowiadała złośliwie: „Jakiś mądry! Dam, za wodę i zepsuje mi się wszystko... wolę psu wylać!”

Obeszła tak wszystkie najbliższe osiedla i już chciała wracać z powrotem. Ale jeszcze, mając otuchę nadziei, wstąpiła do ostatniej chałupy biednego zagrodnika. Gospodyni przyjęła ją bardzo mile, wypytywała o matkę, a dowiedziawszy się, że chora, żałowała ją bardzo, nawet oczy wytarła brudną zapaską.

Czem ośmielona Zosia, pomyślała sobie z otuchą, jak tu nie–
to już wilka nie dostanę!!! i powtórzyła tylko raz dość wypo-
dzianą ~~porządnie~~ formułkę:
– Kazali was też tu mama pięknie prosić, cobyście mi dali
kapkę mleka i mąki.–
– O dziecko! Dyć byłoby chcieć... ~~ale~~ a czy bardzo mama chora?
– O, bardzo!
– Umrze niezawodnie...– zwróciła się ~~kobieta~~ gazdzina do kobiety,
siedzącej na przypiecku.
~~– Nie umrze!~~ Zosia Zadygotała cała z przestrachu. Cała izba ~~poszła~~
~~jej i kręcić przed oczyma~~ kręciła się przed jej oczyma – w u-
szach poczuła omdlenie tak, że nie ~~rozumiała~~ słyszała nic z tego, ~~co~~
~~co kobiety mówiły~~. ~~Wyraźnie~~ żywego dalszej rozmowy kobiet.
– Ja ci Magdka zawsze powiadam, żeś uparta! – mówiła stara –
Dałaś jej z garnka mleka przed śmiercią... ~~i nie pamiętasz~~?
i krowy dojnej nie ostawiły... Musiałaś potem strzępków [illegible]
po umarłej i kadzić... Nie pamiętasz?
– Tak. Ale to było..
– Wszystko jedno, kiedy było... Ty starszych nie przemądrzaj,
bo źle na tem wyjdziesz... będziem widzieć! Praktyki nasze
mówią: Nie ~~daj~~ posiłku leżącemu na śmiertelnej pościeli
albo umierającemu za wodę ~~żadnej rzeczy~~ ani mleka
ani mąki, ani żadnej rzeczy, która jego jest... bo ci
się wszystko zepsuje... do imentu!
– Ale przecie..
– Ty nie wiesz – przerwała stara – kiedy na nię godzina przy-
dzie... Może i dziś. A do tego one mierkują za wodą...
Była przecie w tylu chałupach, nim tu przyszła... czemuż
jej nie dali? Zastanów się i uważ se...
– No dyć nie wiem...
– Uważ se, uważ!

Gazdzina podumała chwilę, wreszcie ~~[illegible]~~
z ciężkiem westchnieniem zwróciła się do Zosi.
– Moje dziecko... idź, przeproś mamę... ale widzisz sama, że
ci nie dać ni mogę...

Zosia odwróciła się machinalnie ku drzwiom, ~~jak~~ wyszła.
– Pozdrów ich tam odemnie! – zawołała z izby.

Stała długo przed sienią, ~~g~~ bez pamięci.
Gdzie była? co robiła? – próżno-by się jej kto pytał. W u-
szach tylko brzęczały, jak osy, głuche wyrazy: „Umrze nie-
zawodnie.. umrze... niezawodnie!"..

Przechodziła potem wśród osiedli i chałup, mi-
jając płoty, kładki i wąskie ulice.. a nie wiedziała gdzie,
którędy idzie... Dopiero gdy wyszła na otwarte pole, oprzy-
tomniała trochę. Tylko ból czuła suchy na czole pod chu-
stką, głębszy jeszcze... Wszystkie myśli były przy matce na
pościeli...

– Ratować!... ale jak?

Skręciła chodnikiem na lewo ku tracowi, nie chcąc już obchodzić na tyły.

– Trza im jeść!... ale skąd? Ziemniaki suche... mleka nima... żeby choć mąki szczypturę... możeby się jako przekrzepili... Mój Boże!

Przechodziła ~~koło~~ ~~stajni~~ koło młyna przy tracu. Młyn stał właśnie. Kamienie nie klekotały głucho... z trzcie........ paprzycą zlatywała ~~mąka~~ biała mąka do ~~koryta~~ skrzyni...

~~Zosia przystanęła~~ Zosia przechodząc, zajrzała do kosza.

– Mąka! – szepnęła ucieszona, ale zaraz dodała smutnie – cóż mi z tego?

Wnet jednak opadła ją myśl natrętna...

– Wezmę garstkę... nic nie ubędzie... zgotuję choć na smak la mamusie..

Uszła parę kroków i obejrzała się dokoła. ~~Żywej~~ Nigdzie ~~żywej d~~ żywej duszy! ~~A~~ Cóż ją wewnętrznie odpychało, gdy się zbliżyła do kosza. Ale nie – przechyliła się, wspinając się na palce i sięgła drobną ręką.

Nim jednak ~~dostała mąki palcami paluszkami~~ palcami dostała mąki, usłyszała nagły wrzask:

– Tuś mi złodziejko!

– Jezus kochany! – odskoczyła od kosza przelękniona. Od kuźni szedł stary Chyba, ~~trzymając~~ dzierżąc w prawej dłoni ~~kawałek drewna~~ odłamek deski..

Nie wiele myśląc, rzuciła się przed siebie i poczęła brnąć po ~~miałkim~~ śniegu prosto ku Kozerowej chałupie. ~~[illegible]~~ ~~prze~~ Pot zalewał jej oczy, strach ją dusił, a przeraźliwe do reszty klątwy starego Chyby, coraz to bliższe... Nogi utkwiały jej ~~po~~ na miałkim śniegu, dyszała ciężko, ostatnich dobywając sił...

Chyba gonił za nią o kilkanaście kroków... Kierpce mu kiełzały... wściekłość go ogarniała, że tej gnidy nie dopędzi... Zdyszał się równie i spocił..

– Psia krew! Wyście! To ja la was mąkę mielę! Niech ~~[illegible]~~ cię..

Zamachnął się i rzucił z całej siły ~~odłamek~~ za uciekającą odłamek deski... ~~Zdawało się~~ Ten ~~[illegible]~~ wywinął zatoczył ~~w powietrzu~~ i ~~padł~~ ~~zarył się w śniegu~~ zdawało się, patrząc z dala, że padł ~~u jej nóg~~ i zarył się u jej stóp.

Naraz ~~Zosia~~ ~~coś~~ rozległ się bolesny krzyk i Zosia ~~przewróciła się~~ upadła twarzą do śniegu.

Chyba zdrętwiał. Czemprędzej wrócił ku chałupie...

Regierung des Generalgouvernements
Hauptabteilung
Wissenschaft und Unterricht

Zl.Wiss.I B 716

An den Herrn
Leiter der Hauptgruppe Gewerbliche
Wirtschaft,Gruppe Handwerk
Abteilung Rohstoffbewirtschaftung

Krakau
Reichsstrasse 61/63

Ich übermittle ....An
bewirtschafteter Rohstoffe
Menge oder einen Teil davo

...Anlage(n)

Komornicy

R. $\overline{\underline{X}}$.

s. 151-164 wył. ib.

27

Name: E l f r i e d e B l a u m

geb.: 27. April 1928 in München-

Vater: Sebastian /Reichsbahnbeam

Mutter: Franciszka /Hausfrau/

Schule: 8 Klas. deut. Volksschule

Anschrift: Lemberg, Gleboka 14. W

Angemeldet: 9. September 1943. „N

X.

Kozioł jadł śniadanie pod oknem na ławie, kiedy usłyszał krzyk na polu. ~~Rzucił łyżkę i wypadł przed sień. Dojrzał~~

– Kiż to dyabli! coś się to dzieje?

Rzucił łyżkę i wypadł przed sień. Dojrzał tylko umykającego za węgły i o kilkanaście kroków leżącą w śniegu postać. Nie wiele myśląc, podszedł bliżej i zachylił się nad nią.

– Magdusina Józka... hm... ~~[illegible]~~ zemgla, śpi, czy co?!

Odchylił z niej łachy i cofnął się nagle.

– Krew!...

U ~~[illegible]~~ jej skrzep pomarszczony naokoło, tając powoli... Kozioł podumał chwilę, podniósł kawałek leżącej deski i obracał go w ręku ~~[illegible]~~...

– Jest to rozum?! – pomyślał – Mógł dziecko zabić jednym razem... Jaki ~~[illegible]~~ – taki ociec... zbóje przeklęte!

~~[illegible]~~ Z wściekłą złością odrzucił deskę na bok i nachylił się powtórnie nad leżącą...

– Dybem ta jeszcze?... Nic nie mówisz!... musiało ją zemglić...

Ujął ją wpół i dźwignął. Spódnice się ~~[illegible]~~ podniosły ~~[illegible]~~ i Kozioł dojrzał pod kolanem sporą ranę, z której ~~[illegible]~~ siekała krew strumyczkami ku piętom.

– O, nic to! – szepnął – szczęście, że nieszczęścia nie było... Oto nie trudno... mógł zwalić w łeb albo kamieniem ~~[illegible]~~! Co ja tu z tobą zrobię? Juści trza cię zaniaść do izby... bo gdzie?

Wziął ostrożnie ~~[illegible]~~ i poniósł ~~[illegible]~~ powoli ku chałupie...

– Widzisz – mówił cicho, ~~[illegible]~~ jak cię ma trafić, to cię trafi... Trza było uciekać do ostatka... Okulawili cię i nam teraz... Bóg świadek, że się ino na tem ~~[illegible]~~ skończyło... Nam gorzej Panu Bogu dziękować, jak się obaczym... Bo to szczęście, co rzadko chodzi po ludziach... wiesz ty, dziecko!

Nie wierzył, bo nie słyszała nic, przewieszona w omdleniu przez jego lewe ramię...

Wszedł z nią do sieni i pchnął drzwi nogą do izby, a stając we progu, ~~[illegible]~~ zawołał:

– Hanka! wyłaź!

W ciemnym kącie na łóżku coś się poruszyło. Kozioł podszedł bliżej.

– Wyłaź, gadam ci, z łóżka, bo umarłą niosę... rozumiesz?!

A gdy to nie pomagało – przytrzymał jedną ręką Józię, a drugą szarpnął brudne okrycie na łóżku...

– Z ruchże się ty sukko! – wrzasnął.

Hanka zaskwierała cicho i zwlokła się z pościeli, ale nie mogła ustać na nogach — oparła się o ścianę..

Kozera Zośkę położył na łóżku i nastawił ku niej ucho.

— Dyszy.. dyszy... daj-no mi Hanka wody!

A widząc, że dziewczyna patrzy błędnie przed siebie i, ~~nie~~ oparta o ścianę, nie rusza się na zawoływanie — mruknął:

— Cierp, kiej ci się zachciało... zdechnij suko!

Ściągnął z ławy worek, wypchany odzieżą i rzucił przed nią na ziemię. ~~Potem Kozera ją porwał i wypadł w pole~~ Hanka się osunęła na posłanie, postękując chwilami boleśnie.

— Nie jęcz mi nad uszami! — wrzasnął.

Zacięła zęby i oczy obracała wściekle, zatracone... On ~~wodę~~ Kozera przyskoczył do łóżka i począł nabierać odzieży, nacierając skronie omdlałej..

Odetchnęła ciężko parę razy i otworzyła oczy... Chciała się podnieść, ale syknęła z bólu i zapadła na nowo w odrętwienie...

— Nic to! zbierzemy się do nogi. — ~~[illegible]~~ szepnął Kozera i począł zwolna, uważnie rozwiązywać skórzane kierpce.

— Co tu krwi naszło... ratunecku!

Odłożył kierpce i onucki i zabrał się z powagą do operacyi...

— Boli! boli! — syknęła Zośka, gdy wodą obmywał świeżą ranę.

— Cicho.. cicho... — mitygował ją i obzierał się za szmatami. — Onucki trudno macać...

Dojrzał Hanczyną koszulę na kołku, zdarł i poszarpał na pasma. Zamaczał je w konewce i począł obwijać nogę, ~~[illegible]~~ piętę od kostek..

— Oj-oj! — wrzasnęła Zośka, gdy dotknął skaleczonego miejsca.

— Cicho, cit.. — uspokajał — ja ci tu wnet..

— ~~Bo~~ ..boli!

— Ho! ho! ho! Dziecko! Dziecko! Żebyś ty wiedziała, jak to uszami boli, a cicho ma być...

— Jezus! Marya!

— No. Już koniec... Jeszcze ci przywiążę suche na wierzch. Tak.. Teraz leż spokojnie. Cichutko leż — nie ruszaj się... Cichutko!

Zosia się uspokoiła trochę — ~~ale pła~~ ~~kać~~ przestała płakać, tylko w oczach na zbielałej twarzy ~~zdziwionej~~ szklistej jeszcze długo sperlone łzy...

Kozłowa dokończyła śniadania, zaodziała się i na odchodnem zbliżyła się do łóżka.

— No leżże, leż... A ty Hanka daj pozór na nią! rozumiesz?!

Hanka patrzała błędnie przed siebie, jakby nic nie rozumiała... Splunęła parę razy na podłogę i wyszła...

— Spełniłam chrześcijański uczynek — myślała idąc — teraz się przyda... O tak! to się rzadko trafia... Umarłego nie spotkasz, cobyś go ~~pogrzebał~~ uczciwie pogrzebał... Nagiego też nie, cobyś go przyodział... Głodnego.. no, głodnych jest dość chwała Boga, ale zejdzie się to z nim, wtedy jak masz co, żebyś go nakarmił?... Dobrze, kiej ci się chory trafi... bo choć tam nie stoi dosłownie: „chorego opatrzyć" — ale to się samo rozumie, że i to musi być chrześcijański uczynek... Coby inszego było?.. Tak, tak — biedny Kozłowo... zasługuj się na zbawienie wieczne, jak możesz, pokiela cię nogi noszą po tej świętej ziemi... Co ono mię tak ciągnie? Nastka, opęt ~~ponad~~ pusty... niechże leci!

Ale „ono" go ciągło, choć i ponada i zaciągło do karczmy. Amen w pacierzu!

Nie wrócił do chałupy, aż na drugi dzień z rana.

W chałupie ~~zastał~~ niespodzianie zastał wnuka. I zamiast się ucieszyć...

— Cóż się tu okoliło! — wrzasnął.

Jęk na podłodze i ~~płacz~~ miauk niemowlęcia był całą odpowiedzią. Bojaźń bowiem wstrzymała go od jone Kleistra, bo już miał setki dyabłów na ~~języ~~ sumieniu. Pomruczał tylko cicho i podsunął się do łóżka.

— Jakże Zosiu — śpisz?

— Nie śpię — odrzekła cicho.

— Lepiej ci?

— Lepiej... Widzieliście tę mamę?

— O mamę się trówkuj!... ~~nie~~ Nie chce ci się jeść?

— Chcę.

— Poczekaj no...

Poszedł do komory i wyniósł w garnku mleko.

— Pij!

Zosia ~~piła~~ łakomie piła.

~~— A teraz leż cicho i śpij~~ — Takie dobre! — odetchnęła po chwili.

— A teraz leż cicho... ~~śpij~~

Przechodząc, spojrzał na zegarek.

— No! napijże się i ty!..

Nachylił się ku dzieżce i przyłożył garnek do ust. Chłeptał chciwie i długo.

– Wiedz, pamiętam o tobie, choćś mnie taką hańbą okryła... ty... ty...

Niemowlę zakrzyczało przeraźliwie...

– Weźże je! – mruknął ojciec – dzie dam rady?

Odstawił garnek i przysunął jej niezgrabnie dziecko do piersi.

– Dajże mu ssać, bo głodne... – dyćeś matka!

Chodził potem z kąta w kąt, poziera na łóżko, na ziemię i medytował...

– Ho! ho! co mnie też nadało, oj co!... Wiela bied na świecie, to się wszystkie na mnie zwaliły. I choruj to, biedź, trap się... Choćbyś trzy rozumy zmiał, to nie wydolesz... Na moją starość tak mi przyszło... cóż poradzić ale? Ofiaruję Ci to Panie na odpuszczenie wszystkich grzechów i na większą chwałę Twoją... niech się już dzieje wola Boska... Trza je ochrzcić! – zwrócił się do Hanki.

– Dyć!... – nie mogła więcej mówić. Ból szybkim kurczem przebiegł po ciele. Zawarła cicho dusze oczy, i twarzy bladej nie odrywała od pościeli.

– Tak ci wdzięcznie po-kwiat głowa stary – Możesz se to za polewkę, a teraz śpij!... a przysuwając ciepły garnek, dodał:

– Masz tu mleko, jakby ci się chciało pić... bo je ciepły! Trza zapytać jakich chrzestnych ojców...

Brodł – i nie wrócił mów, aż na drugi dzień rano. Ale nie wrócił sam: przyszła Kumoszka i Kumoter, wszyscy troje dobrze podchmieleni...

Korczak odmienił się doznaku za jeden dzień. Rad był wielce wnukowi i raczył go wódką, ledwo Hanka wstrzymała ten ojcowski wylew zbytniej dobroci... Za to sama pić musiała, bo ją gwałtem przyparli. I Zosia nawet musiała przełknąć dwa kieliszki pomimo okowity. Pierwszy wypiła chciwie, bo już od wczoraj nic nie miała w gębie... Ale drugi ze trzema prawie potknęła, od przymusu... – Nie wiedziałaś ta mamy? – zapytała – mamie nic! nie... ono tylko spokojnie...

Wnet młoda Kumoszka porwała dziecko, przy czem jej Kumoter dużo nadokuczał... Gotowi „skręgli przy drzwiach” Korczak za nimi...

– Jakże mu będzie? – spytała Kumoszka.

– Tobuś! tobuś! – zakrzyczała Hanka.

– Niech mu będzie Tomuś! – odparł stary – Chrześcijańskie imię, szczycie?

– Wola Boska i wasza! – dobrego zdrowia. Kumotrowie już byli na polu.

– Idziecie wy? – spytała Hanka uśmiechnięta.

– Muszę iść! – odparł ojciec – Bo gotowi dziecka nie ochrzcić, jak się patrzy...

– Wygo ta ochrzciłbie! – szepnęła Hanka.

– Leż i słuchaj! O nie się nie frasuj! – wrzasnął stary i wyszedł

Poszło jej w ... wszystkiej ... zasnęła.

① V

115

– Nie widzieliście tam mojej córeczki? – spytała.
– Właśnie nic! nie turbuj się... ~~ino tyle leż spokojnie~~. Leż, leż, to dobrze!

Cóż miała robić? Nie pytała się więcej, może jej chwilami ~~myśl~~ myśl uciekała od chałupy.

Zdawało jej się, kiedy myślała, że już tak dawno, może na wieki, jak poszła z chałupy... Potem jej się zdawało, że już tak długo żyje na świecie! Napatrzyła się w ostatnim czasie tyle ~~różnego~~ ~~cierpień~~ dziwnych ~~myśl~~ [illegible] ~~[illegible]~~ i nie była już ciekawa, co jej umiał powiedzieć na odchodnem.

~~za K[illegible]~~ porwał prosto za Kumotrami dopilnować [illegible]

Nie widział, jak się rozeszli, ~~[illegible]~~, że ojcowie chrzestni poszli do kościoła, a Kozera został w karczmie przy drodze...

– Tedy muszę wracać – pomyślał ~~[illegible]~~ i stał [illegible]. A nie jedno się obwinie ~~[illegible]~~ po próżnicy idący.. Niby i w chałupie byłby nie zdarł, ale tu lepiej, że ich poczekam.. Bo strasznie radbyłby wiedzieć, jak oni go też ochrzczą... Czy na moje wyjdzie, czy też na Hanczyne..?

Skracał sobie czas, jak mógł, i przepłukiwał gardło.

~~[illegible] Nareszcie się ich~~ Doczekał się ich nareszcie! Właśnie byli, kiedy przyszli...

– Tomuś! Tomuś! – wołali od drzwi.

– A co? Nie na moje wyszło? Będzie za Hanka zła... Siadajcież tu przy mnie!

~~Posiedli wszyscy koło stołu~~. Kumotr dziecko położył na pierzynie, Kumoska je nakryła chustką – i posiedli.

Kozera teraz Bogu dziękował po cichu, że doczekał się takiej wszystkości. – Żeby to choć raz do roku! Mój Boże! Upije się człek i nie ma wyrzutów sumienia... Ale trudno – zwrócił się do siedzących – ~~[illegible]~~ takie mnie nieszczęście spotkało..

– E nie bajcież! – odrzekła Kumoszka – Czy my to nie ludzie, albo co? I nam za młodu różne się trafiały wypadki, a... co będziecie robić?

– Hej! – przyświadczał Kumotr.

– Wasze!

– Daj Boże!.. Niech rośnie.. niech się krzepi!

– Jeszcze się z niego pociechy doczekacie...

– Ho! ho! ho! ~~ha~~!

– Pijcież Kumie!

– Nie zaczcie...

– Bo na mnie to tak: jak mam z kim, to wypiję..

– Wasze!

– Daj wam Boże!

– I zasiedziałbych dzień, dwa dni... nic mnie do chałupy nie ciągnie..

– Mościwy!

Poczęli się [illegible] serdecznie i zasiedzieli ~~cał~~ całe popołudnie, wieczór, aż do późnej nocy.. Żyd już zamykał karczmę, kiedy Kumoszkę zamroczyło i zemgliło doszczętnie. ~~Przechyliła się~~ Padła na ławę za szynkowny stół i tam już usnęła. *

~~Kumotr wstał, chciał iść w pole. Zdawało~~ ~~[illegible]~~

83.

Kumotr uparty, wykłócił się naostatek z Kozerą i zaraz wiedział wszystkim, że idzie prosto do chałupy. Wstał i ruszył od stołu, ale nie mógł nijakim światłem trafić do drzwi. Naobracał się po izbie, naobracał – cisnął się w kąt i tam ostał.

Kozera podparł głowę na przyciesze, począł drzemać, jak zwykle co drugi dzień... Budziło go ciągło kwilenie dziecka. Po chwili oprzytomniał.

– Trza iść do chałupy!

Zwykle wychodził o tej porze. Zgrabał się powoli, posunął kapelusz, chorągwę zawiesił na ramionach... Teraz dziecko... co z tym zrobić? Nie długo się namyślał.

– Umęczyłbyś się do rana... Chodź – pójdziemy do chałupy! – szeptał, wyciągając po nie ręce. – Jak ja cię tu poniosę? – myślał, trzymając je w dłoniach...

Nagle [illegible] mu pomysł nie lada; aże się roześmiał. Tak mu się ta myśl spodobała...

– Czekaj... włożę cię do rękawa... Tam ci będzie dobrze, – Cieplutko, jak w piecu... Będziesz widział!

Zapiął rękaw haftkami na końcu, podniósł ramię i wsunął spowite dziecko do rękawa...

– Poniosę cię, jak kukiełkę z jarmarku.. Zadziwi się ta Hanka! Pódźmy, bo już późno...

Otworzył drzwi, na pole ciemno, mgła, drogi nie widać...

Kozera się przeżegnał krzyżem świętym i ruszył po omacku... Nogami macał chodnik i szedł prosto ku jezdnej drodze – na Koninki...

– Kajże ta ten gościniec? – mruczał. – Ja ta niemniej mi z pod nóg ucieka... Myślisz, że cię będę prosił, cobyś nie pouciekał? Jużci! Kozera kucpot, pijak, ale się nie będzie drodze kłaniał...

I poszedł prosto przed siebie, zapadając w śniegi po kolana. Przysięgłby, że dobrze idzie, że sam instynkt do domu zaprowadzi... Całą drogę mówił do dziecka, a gdyby dziecka nie miał, opowiadałby się sam ze sobą, jak zwykle.

– Idziemy se – mruczał – idziemy prosiątko, jak się patrzy... Poco mamy nakładać drogi, kiedy możemy sprostać... prawda Tomuś?... Jakże ci tam w rękawie?.. cieplutko? he? Widzisz... pamiętaj, jakiego masz dziadka!.. Znamy go! Nie pomierzony! Bo nie najdziesz drugiego takiego, choćbyś się

~~Drugi raz wrod~~ Dziesięć razy wrodził... Wiedźże! Samej go, samej i nie opuszczaj, aż do śmierci... Wnetki urośniesz... będziesz orał, dziad! Ja ci to przepowiadam... Sprawię ci charakls, jak się patrzy, drobiniutko wyszywany... co! Portecki też, a jakże!.. Będziesz se parobkiem! ~~hej~~

„Hej! Za stodolenkamy pasał —
Na ramieniu połtki nasał..."
Zaśpiewał głośno.

~~Zaśpiewał głośno~~.

— Nie podoba ci się ~~to~~?.. O coż ty beczysz?.. Dziecko! Wiejże sobie nim, nie zawodź, boś nie ino ty nieszczęśliwe... Źle ci tam w sztanie? Wzdyś, nie pamiętałeś, kiedy cię chrzcili... e cicho-że!..

Perswadował mu długo i czule, dopóki się dziecko nie uciszyło doznaku.

Szedł i szedł prosto przed siebie, wpadając w śnieg coraz głębiej. Mgła obsiadła go dookoła — w oczach poczęły mu majaczyć rzeczki, wieże — kościoły... ~~Wrócił się parę razy. Wpr~~ ~~[illegible]~~

— Oho! już mię zajęło i szczęście. (Zdawało mu się, że stoi nad urwiskiem... lada chwila usunie się z matki śniegu — i wpadnie. Wracał naprzód i to samo. Zabrał się ~~[illegible]~~ naprzód i ze zdziwieniem spotykał swoje ślady.

— W kółko mię wodzi... pomyślał — Ale poczekaj! Ja ci się tu nie dam... Żeby ~~[illegible]~~ na drogę trafić...

Poszedł w prawo, myśląc rozumnie, że wyjdzie na gościniec. Ale dopiero teraz zgubił go naprawdę i posiadło. Potok nie potok, zaspy, debrze, urwiska — wszystko przeszedł i zmierzył. Nawet mu się zdawało, że widzi ~~[illegible]~~ osiedle, wyraźnie rozpoznawał białe dachy.

— Dojdę, bo niedaleko!

Począł iść ku temu osiedlu, nie patrząc już pod nogi... byle jak najprędzej dojść chałupy! Ale chałupy cofały się przed nim i za zbliżeniem oddalały we mgle... ~~Czy widno? — Włazł po cichu~~

— Czy widno? — Wlazł po cichu, ~~idąc uporczywie~~ — Dyć ja tu przecie zawdy muszę kajś wyjść... Nie porada, cobym tu ostał... Chrystze Panie!

Modlił się gorąco, odmówił wszystkie pacierze, jakie na pamięć umiał i szedł uporczywie do chałup, widnych ~~we~~ z daleka we mgle... Potok nie potok, zaspy, debrze, urwiska — wszystko przeszedł i zmierzył... Naprózno! Począł wątpić, czy ich dojdzie przed śmiercią...

Nareszcie mgła się podniosła i Koczera ujrzał ~~moje~~ dwie topole nad swoim okołem...

— No, chwałaż Bogu! — ~~szepnął~~ odetchnął ciężko i otarł pot. Ale nie też zawodził, jak nigdy przedtem...

85.

Przyspieszył kroku i prawie pociągł (świtać za mgłą)
kiedy stanął w izbie.

Hanka zerwała się na siedzenie.

— Kajżeś Tobuś? — wrzasnął.

— Tomuś, nie Tobuś!...

— Kajże je? ~~mówcie~~!

— Dyć-ech do krztyny o nim zabaczył, ~~bo mnie widzi~~ wódka...

— Kajże je?! mówcie!

— Nie krzycz-że! bo się mu tam nic nie dzieje...

Podniósł prawe ramię i sięgnął.

— Chryste Panie!! Dyć go ni ma w rękawie... o, bedren ja!
haftka się urwała!...

— Złodzieju!! — skoczyła Hanka. Zachwiał się, gdy przeleciała
koło niego bokiem do pola — i poszedł bezmyślnie za
nią, aż ku studni...

—

RD.

. a u m o s e r

nchen- Pasing

hnbeamter/

./

schule 1 Jahr Berufsschule

. 14. W. 44

943. „NSDA - Hitler - Jugend"

Komornicy

R. XI.

wyd. 2b. s. 165-172

defekt

Name: Böhmer A

geb.: 15. 4. 1927

Vater: Johann /

Mutter: Elisabet

Schule: 8 Kl. V

Anschrift: Lbg

Angemeldet 25.

XI.

Tymczasem ~~już~~ stanęła gonciarnia tuż poniżej Chybowego tracza. Ludzie się schodzili, jak na widowisko. Niejeden rad ujrzeć na własne oczy tę cudną maszynę, co równo gonty, fugi, struże i ~~odrzuca~~ na bok odrzuca...

Sława Jaśkowa rosła po całej ziemi. Tłumy narodu z daleka szły oglądać jego „cudo.” Dziwowali się wszyscy temu „djablicy”, jak nazywali wynalazek i z zapałem chwalili Jaśków spryt i przemyślność.

– Trza dopiero talentu, żeby to zrobić!..

– Ani to widział, ani słyszał – i tak z niczego wydumał...

– Moiściewy!..

Jeden tylko, stary Chyba, oponował srodze. Ile razy ~~znalazł się raz~~ przyszedł na tracz i znalazł się między gromadą, podziwu pełną dla Jaśkowego talentu – zawdy coś znalazł do wytknięcia. To ~~kółka nieforemne~~ wałce nie foremne, to kołek za dużo...

– Jakby to - mój - inaczej urządził... Daleko prościej i z nie wielkim nakładem pracy. Cóż to? głupstwo! Nie wielka sztuka.

– To czemużeście nie zrobili? – pytali go śmielsi.

– Czemu? bo już on zaczął!... Niech mu dopomagał ze tą ... radą, starcem... Coby on bezemnie zrobił? Jak i Jasiek...

Słuchali go w milczeniu, ale widział ze złością, że mu nie bardzo dowierzają. A tyle razy już opowiadał ludziom ~~o swojej pomocy przy robocie tego cudu~~ ~~i wreszcie sam uwierzył~~, jako się przyczynił do ~~roboty~~ powstania owej wynalazki, że wreszcie sam w to uwierzył i gniew go porywał, gdy się kto ośmielił wątpić...

– Pracy! rady! dokładaj się! – to cię potem nie wspomną... Bydło przeklęte! Byle ociec ma u nich takie samo znaczenie jak i ty, co masz rozum... I tam tu głowy ta nich! Kto nie umie ocenić twojej pracy...

Nabrał się dryś, nabrał po uchu i głośno – ale nie uśmierzył dowcipu zazdrości, co się mu wryła w serce głęboko. Dysząc ino okiem, jakby się rzucić, za marną niewagę.

– Co ja wam tyle robił, co się nawet nigdo pod rękę i bez mego pomagania, jako nic? i o pracy i o wdzięczności!

Ale cóż mógł robić? Stu ludziom nie da rady...

Za to na Jaśka postanowił złość wywrzeć... ale jak?
Przemyśliwał często i nie widział żadnego sposobu. Raz wreszcie, przesiedziawszy dni na wyrzekaniu, ~~kiedy~~ gdy mu przyszedł do głowy dziwaczny dobry pomysł.
– Ja cię tu nauczę – pomyślał – Nie przemądrzaj starego ojca, kiep sam kiep...

Gościarnię Jasiek ustawił powyżej tracza, tak, że chcąc wodę puścić na koło, musiał ~~ją w~~ [illegible] ją brać ze starej przykopy. W tym celu porobił z desek ~~[illegible]~~ długie skrzynie i, umieszczone wysoko, na palach, połączył z końcem przykopy tak, że ~~[illegible]~~ zawsze ~~[illegible]~~ strumień ~~[illegible]~~ dość wody odchodziło na wodne koło gościarni.

Tej wody pozazdrościł ojciec Jaśkowi, poszedł i przykopę zastawił...
– Niech ci stoi! ~~pomyślał~~, wracając do izby – Nie będę już do ciebie procesyę chodził...

Jasiek był w kuźni. Gdy wyszedł i zobaczył, co się stało, czempredzej pobiegł do chałupy.
– I coście mi zrobili tatusiu! – zawołał.
– Zabrałżebyś ~~twojej~~ wody... rozumiesz?!
– Dyć woda naprzód Borka... i nasza... – ~~[illegible]~~ [illegible] Jasiek, ~~[illegible] powoli wymawiając powoli~~ [illegible] z gardła.
– ~~[illegible]~~ Nie mędrkuj! – wrzasnął Chyba – Mnie wody trza na koło, jak przyjdą wszystkie mrozy, to skąd je wezmę? ~~Co~~? Na tracz i na mnie wody zbraknie, a ty se będziesz figielki pokazował? co?

Jasiek postał, podumał na chwilę... Zabolało go bardzo, że ojciec figielkami nazywa jego użyteczną pracę... Ale niech ta!

Odszedł w milczeniu i pożalił się chłopom na traczu.
– Tak mnie ociec... tak mnie prześladuje...
– To się nie daj! broń swego! Szkoda i grajcara...
– Dyć mi nie chodzi o to... Ale ja wiele mam uciechę, jak widzę, że idzie...
– To też!
– Pociąga mnie do pracy...
– ~~Hej~~ Coby nie! ~~Kwartnie~~ przyzwyczaisz się zawdy jako grajcar... Namorzyć się z tem, narobić i potem ni mieć żadnego pożytku?
– Ale o to nie! Dajcie spokój...
– Naco żeście stawiali, jak nie na zarobek? – pytali go zdumieni chłopi.
– Choćbych centa z tego nie wziął... choćby pół [illegible]! To... – machnął ręką – Jno mi tego żal, jak to przyjdzie na nic... Jak się ~~[illegible]~~ tak... wiecie... zmarnuje to... co se obmyślę.

– Przecie on ino głupi! – mówili między sobą, gdy odszedł, i kiwali głowami z politowaniem.

– Pok kiegoś dyabłów stawiał, jak na ten nie zarobi?

– Hej!

Jasiek miał zamiar przenieść gonciarnię za wodę i zrobić nową przykopę. Ale rozważył i przekonał się, że w zimie tego nie poradzą robotnicy, aż chyba na wiosnę. Dał więc pokój gonciarni – a zabrał się do czegoś innego, co mu się oddawna rodziło po głowie...

Począł znów częściej w kuźni przesiadywać i nad tem, a Chyba, widząc to, mruczał:

– Znowu coś majstruje! Niech go kolki...

Żmiczar ponoć przysłuchiwał się z ciekawością, gdy opowiadał w kuźni chłopom, jak się go pytali, do czego będą te żelazne sztabki, które kuje?...

– To będzie kółko... takie... dyć ujrzycie! – objaśniał Jasiek.

– Znowu coś nowego wymyśli... Cóż to ma być?

– E, nie... wielkiego...

– Ale przecie!

– Taki... jedyny... to jedzie... wiecznie chodzić!.. już wiecie?

– To coś, jak „wieczny żyd”!...

– To to... właśnie!... Zgadliście! – uśmiechnął się blado.

Teraz już chłopi nie wątpili, że Jasiek zgłupiał do reszty... Żałowali go niektórzy...

– Co wasze dumanie da? – mówili – łatwo mowę o nieszczęście przyprawić...

– Hej! pomiesza rozum do reszty...

– A szkoda go! Bo miał talant.

Stary Chyba inaczej wziął. Wiedział on, a jeśli nie, to domyślał, co to ma być ten „chodnik”!... Zauważył już dawniej, że Jasiek majstruje wciąż nad zegarem i mruczy: „jakby tu urządzić, coby on szedł bez nakręcania!” Myślał już wtedy, że się głupstw chwycił Jaśka, ale teraz widzi, że on naprawdę myśli o czemś podobnym. Bo odczuł dziwnym sposobem, że to ma [illegible]... niewątpliwie! I choć wiedział na pewno, że się to Jaśkowi nie uda, – lękał się czegoś... Nieznane dziesięć 90% nie dało mu spać spokojnie. Zapomniał na razie o wszystkiem, tylko to jedno siedziało mu kamieniem na sercu...

Przypatrywał się Jaśkowej robocie, zachodził ze wszystkich stron, wreszcie nie mógł dłużej wytrzymać i zapytał:

– Nad czem ty dumasz? Powiedz-no mi...

Jasiek się zdziwił niespodziewanie. Pierwszy raz ojciec interesuje się jego robotą! Cóż to w tem? – zastanowił się, ale wnet odpowiedział:

– Dyć widzicie... myślę zrobić koło, coby ~~samo~~ szło samo.. bez popędania...
– I co dalej?
– Sam nie wiem... ale mi się zdaje, że to już dość.. – potem zaś dodał: –
Miałbych na myśli zegar.. to już wszcie... ~~Potem trza taki, coby szedł bez ...~~ Maszynę taką, coby szła bez pary...
– ~~To ni taki~~ Ho! ho! ho! bo to Tatro!
– Ja wiem... ale przecie nic odrazu nie stanęło... ~~Bóg dał człekowi rozum, coby myślał~~
– Dumaj! dumaj!
– Bóg dał człekowi rozum, coby dumał...
– Przeciągnajże się Krzyżem świętym!
– Co wam to szkodzi, tatusiu?
– Zwaryjujesz! Zginiesz pierwej, chrobaka marny! Nim to zrobisz...
– Moc Boska... ~~to mnie nie~~ przyjdź dzisi... to nie wyłoszyję...
– Gadajże z nim! On swoje! Jaki padam, jako ociec, żebyś to zaprzestał!..
– O nie.. darmo! Podejczcie mi tę ostatnią, co ~~tam~~ leży u proga...
Chyba zabłąkł się w czarcyście i wypadł z Kuźni. Już się więcej nie wścierał do Jaśkowej roboty.
– Niepamiętnie! Niepamiętnie! Kiedy taka uparta jucha sobaczu... Zachciało się mu Dyable służby z Niebie robić! Ja się już do niczego nie mieszam.
Ale nie wytrzymał, by choć raz na dzień nie zajrzeć do Kuźni. I jakaż była jego uciecha, gdy ~~Jasiek robił powoli i uważnie.~~ ... Zr pewnego dnia nadszedł Jaśka – prawie w rozpaczy...
Siedział na progu, zgarbiony bólem, a oczy błędne utkwił w ~~kol~~ żelaznym kole, zawieszonym pionowo na wałku.
– Cóż ci to Jasiu? – spytał z utajonym szyderstwem.
– Nie chce iść... – jęknął Jasiek.
– A widzisz! Nie mówiłech ci: dej se spokój!.. Słuchaj ojca, wszech rad i nie dumaj, bo się to na nic nie zda!..
Jasiek jednak nie uszedł, ~~nie stawa~~ tej tak Tatro i nie zniechęcił. Mimo wypominałek ojca – pocześ robić ~~[illegible]~~ dębowe koło, podobne ~~wodnemu~~ do wodnego w tracie. ~~Robił je z wielkim mozołem i długo, aż nareszcie wykończył.~~ Koziłło się temu, że miało ~~wyłupki wystające do przy tracie~~ w miejsce szprych zamknięte skrzynki, ~~a szprychy wszystkie~~ połowa szprych i wałce były wewnątrz puste.
~~Uradowany, gorączkowo do zamieszczenia~~ zabrał
~~go~~ w Teraz już gorączkowo pocznął myśleć nad wykonaniem reszty. Wbił słupy obok tracza, nasadził je ~~[illegible]~~ pionowo między nimi na żelaznych czopach, a od ~~[illegible]~~ niej puścił prosto na przykopę.

50

V Woda weszła czerpakami, wypełniając nierówne skrzynie – tak, że punkt ciężkości leżał w przeciwległej skrzyni na obwodzie. Stąd koło, popchnięte w ruch nagłym przypływem wody, mogło się długi czas obracać...

Rol

Anita

27 in Bochum

n / Amt für Pressüber-
wachung - Gouverneur/

bet. /Hausfrau/

Volksschule

bg, Domagaliczów 61c/6

25. 9. 43 „Firma
„Izozien"

[illegible] 11

Berthold Smiola

Komornicy

R. XII.

s. 181-189

23.

Name: E m e r l e Joseph

geb.: 12.4.1928 in Lemberg

Vater: Heinrich / Feuernmann in Sc

Mutter: Magdalene / Hausfrau/

Schule: 6 Klas.d. Volkssch.

Anschrift: Lemberg, Türkenstraße 2

Angemeldet: 6.9.1943 "Zahntechnike

XII..

W jasną i mroźną noc, ~~po tych wypadkach~~ [koło północy], szedł drogą od Kościoła Józek Margoścyjn... Na ramieniu dźwigał tobołek ~~niewielki~~ [niewielki] i szedł raźno po białym, wyślizganym gościńcu.

Przed nim wystąpowały ~~wokoło~~ góry, białe, oblane mglistem światłem... zaczarowany kraj!

~~Z rozkoszą wdychał mroźne powietrze. i szedł po skrzypiącym śniegu prosto w Koninki.. Tak dawno, jak tu nie był... Jaka tu ładna zima!~~

— Hej góry! Moje góry!.. jak ja was dawno nie widział!

Z rozkoszą wdychał mroźne powietrze i szedł po skrzypiącym śniegu... prosto w Koninki. Mijał [po drodze] ~~[illegible]~~ ciche osiedla...

— Tu Zapałowie — szeptał — tu Pogrzebszczy... Jeszcze kawałek do chałupy...

~~Milijony gwiazdek skrzyło się~~ Po niebie za nim księżyc szedł, ~~jasny i zimny, jak lodowa tafla na... przyglądał się ...~~, jak lustro jasne ~~stał~~ jasny i zimny — niby zwierciadło lodowe o... ściętych, utkwionych w słońce... Milijardy gwiazd ~~po~~ na ~~ziemi~~ [niebie] płoną, podobno spadłe na ziemię, rozsypuje się w drobne kryształki. Postroiły one szatę ziemi w błyszczące dyamenty...

— Jaka tu ładna zima! — szepnął Józek — Zaczarowany kraj...

Z podziwem patrzał dookoła.

— Co tu dyamentów... Mój Boże! Kiedy to prawdziwy był choć jeden!.. Zaniósłbych se matusi... Ucieszyłaby mnie... oj! wierzę... A ludzie by się dziwowali..

Spochmurniał nagle. Zbaczył se ową noc, kiedy z kozamy ciciuchutko [przed ludźmi] się tamtą drogą odszedł... Myślał tedy, że zdobędzie świata, potem wróci i zakupi wszystko... Mocny Boże!..

— Darmo se naprzód układać! — pomyślał. — Wszędy trza robić jak i tu, a letko nic nie przydzie...

Przyśpieszył kroku, a myśl wyprzedzała go, ~~biegnąc naprzód~~ [lecąc] ku chałupie.

— Czy też ta zdrowi? — [jakoś] myślał — Nie spodziewają się mnie..... ~~Tem lepiej! Ucieszą się we dwoje~~. Bo Wojtek mówił, że na Święta... A tu coż było robić? Chcęcy przynieść pieniądzy trza było iść, jak się ino robota skończyła...

~~Był już w Koninkach, bo~~ Zdaleka dojrzał ~~długie~~ [dwie] ~~smukłe~~ [ciemne] topole ~~za~~ nad Korerowym okołem.

— Chwała Bogu, żech już tu — szepnął. — Ani bez myśl mi...

Komu nie przyjdzie, że ja tu idę.. Ktoby się spodział, o takim czasie! Śpią wszyscy... żywej duszy nie widać nikany... Ciekawym, co se ta Chyba poczyna bez Wojtka? Musiało go to złościć, że bez jego woli... no, myślę! Ale i Wojciechna! Ktoby to mógł pedzieć.... Tak się rwie sam do świata... i nie źle mu będzie chwała Bogu, lepiej, niż u ojca... bo cóż tu miał? Pasek na śniadanie, laskę na obiad, a kij na wieczerzę — jak sam powiadał... Gadał mi też, — jak się nie mylę, — że Jagusieńka u nas siedzi komorą... co ony tam wszystkie jedzą? To nie wiem.... ~~Chyba~~ moje ~~jedzenie~~ na ziemniakach, abo jakie ziarno.. ale skądby zażyną?.. Muszą ~~ta~~ biedować i bez omasty... Bo ktoby im ta podał?...

Im bliżej był chałupy, tem ciekawość rosła. Radby wszystko wiedzieć odrazu. Tak dawno ich nie widział!

— Jak też ta mama wygląda... czy nie chudzi? I Zosi pewnie przybyło?.. Wojtek mówił... Nie wiem, co on się tak Zośką interesuje?.. Przeklęty szkrab!

Droga się rozchodziła. ~~Wojtek~~ Józek przystanął chwilkę, otarł pot rękawem, i skręcił na lewo ku Chybowej osiedlu...

— Ho! już wnetki! — ~~podział~~ pomyślał — Zajdę niespodzianie... Zaburzę się do drzwi... „Kto tam?" — „Ja!" — „Jaki ja?" — „Nie poznajecie mnie?" — „Wnetki duch!"... ~~Matka~~ Mama się rozpłacze... bo oni zawdy radzi płakać przy takiej okazyi... Potem zaświecę... Ja zdejmę tobołek i położę ~~..~~ pod oknem na ławie... Potem Zośka zbudzi się i wyskoczy z łóżka... przyleci ku mnie... obłapi mnie za szyję: „Józuś!" powie mi tak serdecznie, jak ona to umie... Potem zacznie z ciekawości majstrować koło tobołka... ja jej powiem: „Nie rusz!"... dopiero z rana, jak już słoneczko wzejdzie, otworzę sam tobołek i wyjmować po jednemu... chustkę dla mamy... ~~buty dla~~ chusteczkę dla Zosi... ucieszy się ta! Już ją widzę, jak będzie skakać po izbie... ~~nareszcie otworzę~~ a jak będą poglądać, co jeszcze?.. powiem, że ni ma nic... Dopiero po chwili, po dłuższej chwili otworzę pugilares i położę na oknie całą dziesiątkę... „Macie! to dla was!"... ~~A~~ Toż to będzie uciecha! Nawet Jagusieńka będzie rada... Potem...

Urwał nagle wątek marzonej fantazyi,

bo już ~~[illegible]~~ przeszedł chyłkiem chałupę i zaraz zobaczył najpierw córko... Z bijącem sercem ~~serce~~ minął ławę i stanął za wodą... ~~Już tylko parę kroków~~!

– Już tylko parę kroków! ~~dwa... trzy~~...

Nie szukał chodnika, lecz pobiegł prosto po śniegu i stanął przed ~~drzwiami~~ sienią. Przeżegnał się parę razy i zastukał do drzwi...

– Śpią... szepnął.

Wstrzymał oddech. Słyszał wyraźne uderzenia serca. Po chwili zastukał drugi raz i czekał.

– Nic nie słychać... śpią twardo! Trzeba trochę mocniej.

Uderzył butem we drzwi – i drzwi się otwarły. Omało nie padł na progu – takie straszne zimno owiało go ze sieni... Strach go objął i serce uderzyło mocniej...

– Czy ni-ma nikogo? – dzwoniły mu zęby.

Ale się ~~prze~~ gwałtem przemógł i wszedł do sieni... Księżyc za nim. ~~Świeci~~ poświecił... ~~świeci~~ Śmierć! W najwyższej ~~[illegible]~~ trwodze chwycił za skobel i szarpnął. Drzwi zamrożone odskoczyły...

– Aaah! ~~wyrwał się z jego gardła przerażony~~ krzyk... zakrzyknął okropnie...

Zatrzasnął drzwi i wypadł w pole... Szalonym pędem biegł za wodę – a przed oczami jego ~~świeciły wciąż z księ~~ ~~rzucona światłem blasku~~ wciąż stały w świetle ~~Księżyca~~ wielkie, szklane oczy...

— · —

* * *

Poprzed Chybowe okna szedł pogrzeb Margośki... Dziwnie smętną zwrotką płynęła w dal cmentarna pieśń...

Chyba uciekł do komory i zamknął się. Ale i tu dolatywały wyraźne słowa:

„Możny i ubogi równy –
Nikt od śmierci nie wymówny...*
Któż wie na kim kolej stoi?
Przeto wszelki się każdy boi..."

Oddalił się już smutny pochód i zniknął za płotem a w uszach starego z wieży jeszcze dzwoniła żałobna nuta i przejmujące, ostre słowa wdzierały się do mózgu.

Wyszedł na izbę i rozpatrzył się dookoła... pusto i ani żywej duszy... Chodził z kąta w kąt i nie mógł się miejsca znaleźć. Wszędy czaił się utajony niepokój... z pod ścian, z pod ławy, z pieca – zewsząd wychylał ku niemu zagadkowe oczy. Wszedł do izdebki – on za nim... stanął w piekarni – on już tu... ani się go pozbyć! Opuścił izbę i wyszedł przed sień, a wiater ku niemu przywiał z oddali:...

„Któż wie na kim stoi?"

Skręcił się w lewo – i poszedł ku wodzie, nagle stanął... bo zdało mu się, że Jurek wszedł pod fracz, między koła. Mróz przebiegł mu po ciele, bał się kroku naprzód postąpić...

– Przywidzenie! – mruknął i powoli zawrócił ku chałupie. Wrócił napowrót do izby, ale jeszcze większy niepokój go ogarniał. Zdało mu się, że lada chwila skrzypnie ktoś drzwiami i stanie przed nim... to mu się zdało, że widzi w mrocznym kącie wielkie, szklane oczy, ku niemu wprost z niemym i strasznym wyrzutem. Przerażony przymykał oczy... to mu znów poczyna w uszach dzwonić żałobna pieśń. Niemały ciężar osiadł mu na piersi, zmroził krew, czasami serce ścinał w lód.

Poczynał mówić głośno. Słowa dudniły w pustych izbach i przerażały jeszcze bardziej. Chciał pozbyć się tej pustki okropnej... Sam – ani żywej duszy – nikogo!... Chwilami zdało mu się, że ktoś jest przy nim... Wtedy martwiał cały i włosy podnosiły się na głowie.

Chciał pędzić gdzieś daleko, lecieć ~~w świat~~ bez pamięci, ale wnet pomyślał, że nie ucieknie... Darmo! Niepokój za nim pójdzie i na koniec świata... choćby pod ziemię skrył się, to go najdzie...

Złamany, powlókł się ~~na przykopę~~ w pole, usiadł na przykopie i oczy utopił w płynącej wodzie..

Długo tak siedział nieruchomie i odganiał uporczywie wdzierające się ciżbą myśli. ~~Niepokój~~ Zwolna odszedł i lęk, ~~i~~ a pozostał w nim tylko smutek i przygnębienie i jakaś bezgraniczna pustka... ~~Zapa~~ Oczy biegły za wodą nieustannie, a on się zapatrzył w siebie i widział długim opuszczonym ugorem, gdzie osty ~~mógł~~ mogą wyrastać bez siewu... Widział ~~się~~ kłokiem niezoranym, bez miedz, bez kęp, bez granic... A nic nie wyrośnie na nim, prócz łopuchu, ni trawa, ni jałowiec... ~~bo ptak~~ ~~nad nim nie przeleci, zdala ominie... [illegible]~~ A ziemia upraszona krwią, tańczącymi wypiekami oddycha. Ptak nad nią nie przeleci, zdaleka ominie... Jak okiem dojrzeć - pustka, bezgraniczna pustka... ~~Patrzy się [illegible] w [illegible] opustoszałą dal~~ ~~to jego duszy [illegible]~~ ~~[illegible] powoli bez końca, [illegible]~~.. Zapatrzył się długo i poczynał martwieć powoli.... # Dojrzał ciemność w tej duszy opuszczonej... jakieś nieznane, wielkie, ~~[illegible]~~ dalekie, jak ~~[illegible]~~ lądy, a tak niepojęte i niezbadane, jak niezmierzone morskie dna...

Pstrąg uderzył go w nogi i zbudził... Chyba głowę ~~[illegible]~~ podniósł i rozglądnął się dokoła. Taka sama pustka, ino większa... o! daleko większa... Zdało mu się, że ~~[illegible] przeszedł świat~~ już na tamtym świecie, śród ugorów i widzi mały skrawek tego świata, który mu pozostał... taki mały! taki nic...

Obejrzał się daleko... jeden ugór... Na czem to ludzie żyją? chce im się żyć!.. Spojrzał na ~~wodę~~ rzekę... poco ta woda płynie? płynie... płynie... ~~[illegible]~~... gwary.., Zasłuchał się w ~~[illegible]~~ odgwar cichy, daleki... i poszedł wraz z latami,.. do ojcowskiej chaty... potem zwolna ~~[illegible]~~ przechodził życie od kołyski, ~~złe i dobre czyny~~ wszystkie złe uczynki na ~~[illegible]~~ świecie...

* Czas ubiegał za wodą, ~~a~~ Chyba skończył ~~bez przerwy długą~~ Cmentarną spowiedź życia, zaczętą na Jaśkowym grobie. Oczy mgłą zachodziły, wargi drżały - ~~pochylił się nad wodą~~ ~~na~~ głowę pochylił na kolana i szeptał wodzie, bez przerwy - * ~~Panience~~ morzu.... Bóg nie wysłucha... darmo!.. ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ Na wieczną pustkę!.. na ~~tól~~ śmierć!...

[illegible] na przykopie, wiatr zawiewał [illegible]...

Dzwie trzy upadły w wodę… ~~Stary~~ Chyba zapłakał.

Po chwili głowę uniósł na wyższe i opadł.

— Sam… sam jeden…

Przed oczami jego stała mirka chałupina za wodę. Zabrali stamtąd ludzie — odeszli… I drzwi nie zawarli za sobą.

Tak wyw. Stary Chyba długo patrzył ku niej, jakby się spodziewał, że kto wyjdzie i stanie na progu… Wreszcie pokiwał głową osiwiałą i wyszeptał ze smutkiem:

— Dyć my tu na tym świecie wszyscy komornicy…

— Koniec —

Paryż kwiecień 16/4 98

[illegible] Słońce i Planety

Planety

VD.

n Schlaghof/

ße 2 W.4a.

niker - Breitegasse 107.

Komornicy

do R. XI.

[wyd. zb. s. 173.]

26

Name: D ö r i n g e r Lene

geb.: 14.11.1926 in Lemberg

Vater: Emil /Geschäftsleiter „H

Mutter: Karoline /Hausfrau/

Schule: 8 Klas. d. Volksschule

Anschrift: Lemberg, Aleienstraße

Angemeldet: 9. September 1943 N

54

Powieść.

I tak przyjmą się wziąć twardo ogarnia życie.
Wszyscy, którzy chcieli, żeby im było lepiej – zawodzie poszli
„na tamten świat!...

– Ludzie pozymierali...
– Dziwcie się! Wszyscy, którzy chcieli, żeby im było lepiej – poszli
na tamten świat...

– Kominki. Kacórka. –

Pomiedze

I. Na tracie... – Chłopice, Chłopy, Chyba stary
II. Chałupina stara przy tracie Matka, syn, Hanusia
I. W ~~Kościele~~ (Chyba – Komornica Syn jej Jorek.)
II. W chałupinie. – Matka. Córka. – (Syn pojechał do Perota)
III. Na tracie. „Dziwcie się”. (Chyba – Koniec, wyjście) Chłopy. Smorcenaty.
IV. Pod zimę. – Jagnieszka. opowiada Komornica. Kozy. Hanka wciąż na trac do wsty, gdzie nieśmiałki piekły.
V. Radziel. Synowa Chyby.
VI. „Jórek przed!”.. Jagnieszka odchodzi na ojcowiznę. Kozy na jarmark. Żydzi. Rabczanie.
VII. ~~Na~~ Wieczory. Hanka opowiada. + U Chyby.
VIII. Głód. Matka chora. N – | Kłótnie
VIII IX. Hanka kradnie mąkę z Korca. Chyba ustąpił jej i kure. Pokątnościom robi ~~Korca~~ Kozera
przedzierała;
X. ... Śmierć (Matka – Chyba)

Tak i chłopy – każdy obiecuje to coraz
jak spod deski – to pół przepije
I zawdy ma biedę i biedę, choć
mocą dzień po dniu
– nieodrody!

~~Wrongi~~ na tracie: Na zarobek... do Warszawy

(mróz – latorośle)

V. Na jarmark. Do Perota!
VI. W chałupie. Zima.
VII. Jagnieszka. Łaty. wydzieranie.
VIII. Radziel. Synowa Chyby; Jórek poszedł!
opowiada Zośki.. Wyjście.
IX. Głód. Mizeroparty. Zabobony. Kradzież Zośki. Kozera.
X. ~~Chyba~~, Gościniec. Jasiek. Perpetuum mobile. ~~Chyba~~ Wyjście
Śmierć pod Kołem. Synowa ~~się~~ raz do ojców. Wyjście
XI. Chyby Kozera. Hanka. Zośka.... Margośka.
XII. Jórek i ~~wyjście~~ – Noc biała. Za wodę.... ~~nastroj~~.
XII Chyba. (samotność)

„O ziemio rodzy i zamarły łyk!”
—
Jeziorny – idzierny
Ta dworeczkam ostrom –
Powiadają ludzie,
„że to brat ze siostrom...”

„Obiecał mi tatuś
Że wszystko kupię –
Ale mnie obiecał
Ze skóry obłupię...

Okruchy

I. Nowelka. Chłop wyrzuca babę z wozu na wykliny. Ta wstaje: „Pociekoj ze se ty Jasiu! itd. — Jadę ze stypy pogrzebowej... Znadten żyli w zgodzie.

II Charakter ludu górskiego.

(anegdota z chłopem, który się pnie na drzewo po płatki:) ~~Matk~~
~~Matko~~ Najświętsza panienko! żebyś mi dopomogła coby ci mu haniżę gałęź wylazł, tobym ci juz odzałbował sześć pacierzy.

Gramoli się, gramoli — wylazł.

— No chwała Bogu, kiech już tu! Teroz ech nie głupi, żebych ~~pacierze~~ mówił pacierzy.

Z Nie dokończył — Łamie się gałęź i chłopak z wysokości paru metrów ~~uderza~~ spada całem ciężarem na kamienistą ziemię... Jęknął ziemia. Wstaje ~~krzy~~ chodzo...

— O najświętsza panienko! — mówi rozżalony, trzymając się ~~ręki~~ ręką za stłuczone miejsce — Jak cię Tyz Ty na ~~żartach~~ żartach nie znos! Dycbych ci był i siódmy pacierz ~~zmówił~~ oddał... A tak, coz mos?.. Jo sie potłukł, a ty ani jednego pacierza...

III. „Dusza" — analiza ~~z~~ studyum.

(Dwa światy. ~~Sub~~ Kobieta — mężczyzna. Subtelność uczuć. Mistyczne odczuwania. Sztuka. itd.)

IV. Ludzkość i geniusze a) meteor (ubite drogi)
b) samojedni (Starcowscy dziewiczych lasów)

V

Powiadają niemcy
„Że my cudzoziemce
A my som Polacy.
Chłopacy Ostrzyjowy."

„Dwie dusze w jedno ciało,
Jak ja zyjem to się
tobie nie będzie
chciało

RD.

Lene

erg

ter „Hotel Georgia"

u/

hule in Litzmannstadt

straße 14. W. 3.

1943 NSDA Hitler Jugend Lemberg

Komornicy

bruliony listów!

Komorowicz

Powszechnem jest mniemanie, że górale, to ogromnie wesoły naród; śmiechu i gwary u nich pełno, wesele tryska im z oczu snopami iskier świetlnych, humor niewyczerpany ich owiewa... Zaiste! Przyjeżdżającym w odwiedziny chłop nie pokaże smutnego ~~twarzy~~ oblicza. Nie jest to jednak ten bezinteresowny, szczery uśmiech, który ubielał twarz dawnego kmiecia, gdy witał w progu nowych gości. Jest to raczej maska, konwencyonalny śmiech, banalny owoc cywilizacyi, która każe „robić przyjemną twarz" wobec spotykanych ludzi, kiedy dusza płacze, albo, co gorsza, radość zwykła, uprzedzająca spodziewany zysk. Pierwszy rodzaj tej wesołości sztucznej widzi się powszechnie w całem plemieniu górskiem, drugi zaś stał się płaską grzecznością kupiecką

Dawid

[illegible] Dawid 17/III 900

Szanowny Panie!

Dziwną się (wyda może) moja prośba, lecz mam nadzieję, że znajdę w zacności serca Pańskiego wytłomaczenie.

Nie wiedząc gdzie się udać i do kogo ~~Posyłam na ręce~~ Szan. Panu dramat mój ludowy pt. „Skapany świat" ~~i pr~~ z ~~~~ prośbą o złożenie go ~~z~~ Dyrekcji Teatru „Rozmaitości" lub wręczenie reżyserowi Szymanowskiemu. Obznajomiony z ~~tu~~ miejscowymi stosunkami teatru Szanowny Pan będzie wiedział, zapewne, ~~któremu wręczyć można~~, by do niego ~~zwrócić (się)~~ potrzeba, by ~~sztuka~~ w krótkim czasie przeczytano sztukę i na odpowiedź nie kazano czekać zbyt długo. Sztuka pisana ensemblowo, ~~wyt~~ nie na rękę pewnie będzie starszym reżyserom, nie starałbym się też do „Rozmaitości", lecz mnie popycha to, że u nas dramat ludowy dopiero w zaczątku, a potem, i ~~że mają~~ że Sosnowska i Żelazowski, którzy ze zrozumieniem odtwarzają chłopów, znajdują się właśnie w „Rozmaitości".

~~Pomoc Szan. Pana i wstawiennictwo tej przeprawy, jakiej z trudności czeka każdego początkującego dramaturga~~. Zrażony już trudnościami, stawianymi przez galicyjskich dyrektorów teatru, ~~z … miałem poprostu nie~~ z bojaźnią ~~się~~ prawie odsyłam tę sztukę, ~~… dodaje mi otuchy …~~, liczę na łaskawą pomoc Szan. Pana. i wstawiennictwo początku.

~~Jeszcze raz gorąco~~ Ponawiam jeszcze gorącą moją prośbę i oczekuję ~~prz~~ łaskawej ~~co losów~~ ~~nie~~ odpowiedzi

Z głęb. szac.

W. Orkan.

P.S. Przypuszczam, że jeszcze przed wyjazdem Trupy „Rozmaitości" do Petersb. otrzymać mógłbym odpowiedź dzisiejszą o losie sztuki. — Proszę o wybaczenie mej śmiałości, że w nawale pracy przeszkadzam. Ale jestem bezradny, a choć nieznany Pani osobiście, z ufnością się odnoszę.

Szanowna Pani,

Równocześnie wysyłam sztukę moją [illegible] na ręce p. Dawida, redaktora „Głosu", który ją złoży w Dyrekcji Teatru „Rozmaitości".

Przypominam Łaskawą obietnicę, daną mi w Krakowie — i proszę bardzo o polecenie przy sposobności sztuki mej reżyserowi Szymanowskiemu, by ją mógł przejrzeć w niedługim czasie i odpowiedzieć.

Czytałem o tryumfach Pani w „Zaczarowanym kole" i radowało mi się serce. A może i mnie bogi pozwolą, z wiosną, być w Warszawie i napatrzeć się z najczystszej przyjemności sztuce Pani.

Nie dodaję już nic więcej, bo wiem, jak taka Pani musi mieć mało czasu, w tym czasie zwłaszcza, niezmiernym [illegible].

Najserdeczniej tylko ukłony i pozdrowienia.

nie Tracąc

Z prawdziwą czcią pozostaję

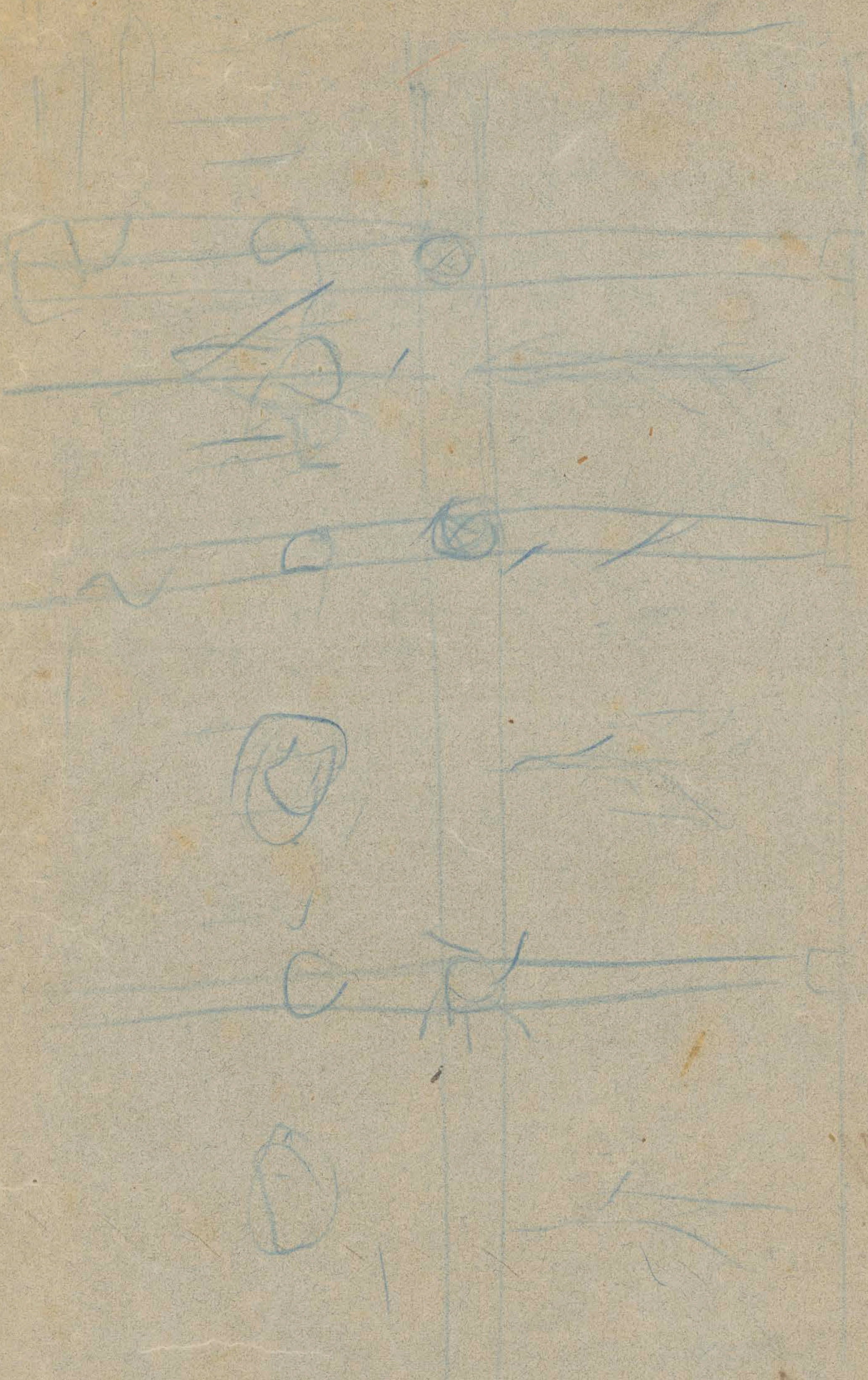
Wł. Orkan.

Szanowny Redaktorze!

Proszę o łaskawe polecenie przesłania mi nru 4 go „Tygodnika" (27 stycznia) i zarazem wszystkie dalszych, ~~które są~~ [illegible] ~~numery dotychczas~~ za pół ceny, potrąconej z honorarium lit.

Z głębokim szacunkiem

W. [illegible]



twój baranek